płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—31 · VIII · 1985 | 15/16

Fot. Wiktor Pawłowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

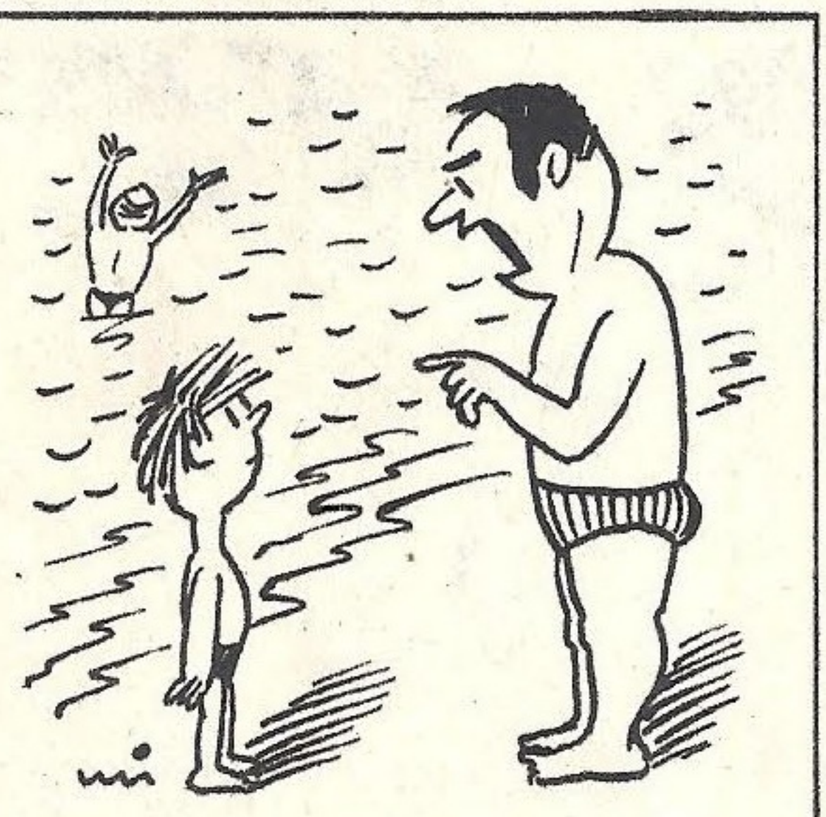

— Nie wejdziesz do wody, zanim nie nauczysz się pływać!

— Żeby być kapitanem żeglugi wielkiej, wcale nie trzeba mieć wielkiego statku!

A TO CIEKAWE!

WIELKIM bogactwem naszego kraju, jeszcze nie w pełni wykorzystanym, jest gaz ziemny. Jego zasoby w Polsce ocenia się na kilkaset miliardów metrów sześciennych. Złoża gazu rozrzucone są na terenie całego kraju. Bogate złoża gazu występują na Podkarpaciu, w Rybnickim Okręgu Węglowym, na Pomorzu i w Wielkopolsce, a także w okolicy Zamościa.

●

EUKALIPTUSY mają sławę drzew rosnących niezwykle szybko i należą do najwyższych na świecie. Osiągają 155 m wysokości. Prześcigają więc pod tym względem słynne z długowieczności i strzelistości — sekwoje kalifornijskie. Ojczyzną eukaliptusów jest Australia. Rośnie tam około 500 odmian tych drzew. Różnią się one między sobą barwą kory, liści i kwiatów, które u każdej odmiany są przepiękne.

●

GDY KTOŚ powie, że wybiera się do Ameryki, to wcale nie znaczy, że jedzie za ocean. W Polsce mamy sporo miejscowości o nazwach innych państw: jest 18 Ameryk, 19 Korei, 10 Abisynii, 9 Kanad, 2 Bułgarie i 3 Włochy, są Chiny i Algier.

PTAKI są największymi tępicielami owadów. Sikorka zjada w dzień tyle owadów, ile sama waży. Rocznie tępi więc około 120 tys. sztuk szkodników, a cała jej rodzina potrafi spożyć 75 kg przeróżnych owadów, ich jajek i larw.

Drozd śpiewak zjada w tym czasie 1 milion 670, a szpak 209 tysięcy gąsienic. Gdyby w jednej linii ułożono owady zjedzone w ciągu roku przez jerzyka, to linia ta miałaby długość około 1 km.

●

NAJMNIEJSZĄ armię wśród państw świata ma Republika San Marino — dokładnie 11 żołnierzy. Natomiast w takich krajach, jak Islandia lub Księstwo Liechtenstein, wojska nie ma w ogóle.

●

ROPUCHY nie odznaczają się urodą, ale są ogromnie pożyteczne. Wiedzą o tym ogrodnicy, toteż np. we Francji właściciele plantacji truskawek kupują ropuchy na targu i wypuszczają na swoje pola. Truskawki mogą wówczas dojrzewać spokojnie, gdyż żaby te niszczą szkodniki zagrażające owocom. Ropuchy łapią nie tylko gąsienice, ślimaki, owady, ale nawet myszy.

Nasza okładka:

Słonecznik — pamiątka lata

KRONIKA OLSZTYŃSKA

(fragment)

Rano słońce, rano pogoda,
idziemy do kąpieli.
Sama radość! Sama uroda!
Jak tu się nie weselić?

Z sosny słychać dzięcioła stuk.
A tutaj ryby bryzg! spod nóg.
Ech, bracia, wpław! I płynąć, pływać,
aż tam, gdzie z drugiej strony
wiatr, roześmiany wiatr przygrywa
na sitowia strunach zielonych.

Konstanty Ildefons Gałczyński

Rys. Barbara Frąckowiak

JAK MAĆKO PRZASNYSKIEGO STAROSTĘ WYSTRYCHNĄŁ NA DUDKA

Różni ludzie bywają na tym bożym świecie. Bywają mądrzy i inteligentni, ale bywają też głupi i ciemni jak tabaka w rogu. Bywają szlachetni i skromni, a bywają podstępni i zarozumiali. Bywają życiowe niedorajdy i bywają spryciarze gotowi sprzedać za dobrą monetę nawet kota w worku. Bywają ludzie o gołębich sercach i bywają istoty drapieżniejsze od wilków.

Jaki był naprawdę starosta w Przasnyszu, zgadnąć dzisiaj trudno. Jedno wszakże wiadomo: przasnyski starosta uważał się za najmądrzejszego z urzędników królewskich na całym Mazowszu. Miał się za człowieka niebywale sprytnego, którego nikt nigdy w pole wywieść nie potrafi.

Wysokie mniemanie o sobie sprawia, iż człek taki zawsze jest zadowolony i kontent. Dobry humor zaś wzmaga apetyt. Nic przeto dziwnego, że pan Wolski, starosta w Przasnyszu od lat bardzo wielu, gruby był niczym beczka piwa. No i że tę beczkę dwóch hajduków z niemałym wysiłkiem podsadzało na konia, by jeżdżąc po okolicy mogła na wszystkich spoglądać z góry.

Niestety, znakomite samopoczucie imć starosty pewnego jesiennego dnia prysnęło jak bańka mydlana. Zepsuło się na podobieństwo jaja porzuconego i zapomnianego przez nietroskliwą kwokę.

Tego właśnie dnia do Przasnysza wtoczyła się pędem czarna kareta, jakiej zwykle używali elektorscy dostojnicy. I zajechała nie pod karczmę w rynku, jak czynili to podróżni wędrujący z Królewca do Warszawy, lecz wprost przed dwór starosty.

Powóz toczył się jeszcze, gdy ze środka wyskoczył na dziedziniec niezwyczajny gość. Długi, suchy drab w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu o szerokich skrzydłach. Istny gawron.

— Herr Gott, ze skargą tu jestem — warknął przybysz na powitanie i zazgrzytał zębami, aż mu iskry sypnęły się z gęby. Nie czekając na odpowiedź pana starosty, rozpuścił jęzor niczym łomżyńska kramarka. — Zażalenie wnoszę. Bo cóż za porządki panują na tych waszych drogach? Dwa razy każecie sobie płacić za jedno i to samo. Herr Gott, dlaczego?

— Niby za co, acan, płaciłeś raz i drugi? — pan Wolski wetknął dwa palce za szeroki, złotolity pas spinający żupan i wypiął brzuch dostojnie.

— Z Królewca w specjalnej misji śpieszę do Krakowa, na zamek królewski. Ziemie pruskie przebyłem spokojnie, bez żadnych awantur. Ledwie przekroczyłem granicę, natrafiłem jednakże na królewskich zbirów.

— Licz się ze słowami, acan. Nie u siebie jesteś — starosta podniósł wysoko palec. — Nie obrażaj ludzi najmiłościwszego monarchy, jeśli nie pragniesz zadyndać na sośnie do góry nogami. Albo skończyć żywot w loszku pod wieżą.

Gość pohamował się nieco.

— A jak mogę inaczej nazwać rozbój w biały dzień w tych waszych Gorzelach? — zaczął tłumaczyć łagodniejszym tonem. — W tamtejszej komorze celnej dwukrotnie pobrano ode mnie opłatę graniczną. Najpierw siedem srebrnych talarów, potem znowu siedem. Jeszcze raz pytam, dlaczego?

— Dwukrotnie? Nie mylisz się, acan? Urzędnicy królewscy swe powinności znają nie najgorzej. Przeto pojąć nie mogę, jak doszło do godnej

ubolewania omyłki. Opowiedz mi, acan, wszystko dokładnie i po kolei.

Z wyjaśnień elektorskiego posła wynikało, że tuż przed Chorzelami wręczył on opłatę graniczną jakiemuś człowiekowi stróżującemu przy szlabanie na gościńcu. Takiej samej opłaty zażądano trochę dalej, w komorze celnej na rogatkach miasta.

— Jak wyglądał ów człek przy szlabanie? — zainteresował się starosta. — Zapamiętałeś, acan?

— A pewnie. Taka szkaradna gęba długo śnić się może po nocach. Włos siwy i zwichrzony, brwi krzaczaste jak u leśnego diabła. Na czole zaś szrama po cięciu szablą, niemała, chyba z dziesięć cali.

Kiedy udobruchany poseł — po wysączeniu gąsiorka mocnego węgrzyna i przełknięciu połowy udźca sarniny — udał się wreszcie w dalszą drogę, pan starosta kazał pachołkowi wezwać do ogrodu Stacha Kuternogę. Stajennego mającego pod pieczą wierzchowe rumaki.

— Żyłeś, Kuternogo, wśród puszczańskich zbójników przez długie lata. Pewnie wiesz, gdzie Maćkowa kryjówka?

Stajenny podrapał się za uchem.

— Czyja? Zbója Maćka? Tego z pokiereszowaną gębą? Ależ on od dawna porzucił rozbójnicze rzemiosło. Mieszka sobie spokojniutko w budzie postawionej na polanie nad samym Orzycem. Dziś to człek łagodnego charakteru nikiej niewinna owieczka. Ptaki łowi i sidła zastawia na drobną zwierzynę. Żyje z darów boru i z miedziaków, jakie dostaje za futerka na targu w Ostrołęce albo w Łomży. Ze zbójecką maczugą rozstał się przed wieloma laty. Teraz sławny jest pośród puszczaków nie z rozboju na drogach, ale z dowcipu. Wesołek onci jest. I sprytny aże strach. Ponoć nikt ze śmiertelnych przechytrzyć go nie potrafi. Wszyściutkich nabiera niczym małe dzieciuchy. Baby powiadają, że pokumał się z diabłem Borutą i właśnie dlatego stał się najsprytniejszym z ludzi.

— Głupiś, Kuternogo. Znam sprytniejszych. Może on i dobry na naiwnych puszczaków. Prostych bartników, rudników czy brudnych smolarzy. Człowiekowi prawdziwie wykształconemu przecież nie dorówna. Głowy pełnej zacnego oleju byle zbójca przechytrzyć nie zdoła. Sama myśl o tym wydaje się śmieszna.

Pan starosta poczuł się dotknięty do żywego. Jakże to? Były zbójca puszczański miałby być sprytniejszy od niego? Miałby zagrażać jego dotychczasowej sławie zdobytej przy niejednym stole i na niejednym szlacheckim sejmiku? Niedoczekanie.

— Szykuj mi wierzchowca na rano, Kuternogo — zarządził. — Najlepiej gniadosza. A i sobie weź jakiegoś zdrowego podjezdka. O rusznicy i prochu także nie zapomnij. O świcie wyruszamy bowiem do puszczy. Muszę przekonać się na własne uszy, ile jest prawdy w tym, co ludziska gadają o starym zbójniku. Widziałeś tego Prusaka, którego dopiero com gościł we dworze? Podobno Maćko ocyganił go na siedem talarków.

— A może wcale nie Maciek, lecz leśny diabeł nabrał elektorskiego pludrę? W tych borach, wielmożny panie, złych duchów prawdziwe zatrzęsienie. W każdym bagnie mieszkają moczarowe diablęta. A straszliwe wiedźmy latają nocami od dziupli do dziupli niczym sowy lub nietoperze.

— Głupiś, Kuternogo — pan Wolski machnął bezsilnie ręką. — Nie rezonuj po próżnicy, ale szykuj się pilnie do drogi. Pamiętaj, ruszamy o brzasku.

Świt zastał obydwu wędrowców w siodłach. Długo jechali przez ostępy Puszczy-Zagajnicy. Najpierw przez stary bór dębowy, potem przez gęstą świerczynę, by wreszcie dotrzeć do

wzgórza, na którym wznosiły się trzy olbrzymie dęby splecione konarami niby w jakimś dziwacznym uścisku.

— O, Belzebubowe dęby. Do Maćkowej chałupy stąd już niedaleko — uradował się kulawy Staszko. — Od tych trzech dębów będzie jeszcze z godzinkę jazdy. Nie dłużej.

— Ej, a kto mnie szuka po borze? I czego chce od zwyczajnego leśnego człeka?

Zza jałowcowej kępy wylazł mąż niewysoki, szeroki w barach, z siwą czupryną i ogromną blizną na policzku i skroni. Człowiek ów dzierżył na postronku łaciatą świnię.

— Witaj mi, Maćku — stajenny zeskoczył z konika i podbiegł naprzeciwko puszczakowi wołając radośnie: — To ja, Staszko Kuternoga. Stary twój kamrat. Nie pamiętasz? Razem chadzaliśmy do Prus macać szablą kupców.

— Wszelki duch pana Boga chwali, Staszku, a co ty tu robisz? Myślałem żeś już dawno pomarł. Tak przynajmniej gadano u nas w borze. Chyba cię uszczypnę, by wiedzieć, jako jest naprawdę — zdumiał się i ucieszył puszczak, trzymając z całej siły świnię wyrywającą mu się i kwiczącą głośno z przerażenia.

— Jadę do ciebie w gościnę wraz z moim panem Wolskim, starostą Przasnysza. Pan starosta sprawę ma do ciebie.

— Kłaniam się do kolan jaśnie wielmożnemu panu staroście — Maćko pochylił odrobinę głowę — i zapytuję, co sprowadza go w to dzikie oddludzie? W boru pełno drapieżnego zwierza i strachów rozmaitych.

— Na rynku w Przasnyszu ludziska powiadają, że jesteś najsprytniejszym człowiekiem w okolicy. Królem lisów cię zowią. Prawda-li to, zbóju?

— Skoro ludzie tak twierdzą, nie śmiałbym zaprzeczać, wielmożny panie starosto.

— Podobno ostatnio ocyganiłeś na siedem talarków elektorskiego posła śpieszącego z Królewca do Krakowa?

— Ocyganiłem? Boże uchowaj. Ja go jeno zapytałem tuż przed Chorzelami, czy wie, że za wjazd należy się taka właśnie opłata? Zamiast odpowiedzieć, że wie, podał mi przez okienko garść monet. Więc je wziąłem. Przyznasz panie, że nie wypadało obrażać nieznajomego odmową.

— Słyszałem też, iż wystrychnąłeś na dudka książęcego zarządcę? — ciągnął dalej przasnyski starosta. — A przedtem wielkiego łowczego? A jeszcze wcześniej nie oszczędziłeś ponoć nawet łomżyńskiego kanonika?

— Wszystko to święta prawda. Tyle, że niezupełna — odparł Maćko uśmiechając się pod nosem. — Każda z tych osób szlachetnych i dostojnych chciała mi udowodnić, iżem głupszy od nich ze sto albo i z tysiąc razy. Ja tylko się broniłem. Nie moja wina, że wszyscy oni — także i święta osoba z Łomży — powpadali we własne sidła i pułapki.

— Nie sztuka oszwabić tępego Prusaka, zbóju. Nie sztuka również wprowadzić w błąd łomżyńskiego kanonika, bo serce ma ufne niczym małe dziecko. Wierzę, że poradziłeś sobie z wielkim łowczym królewskim, jako i z książęcym zarządcą. Nie wierzę natomiast, abyś poradził sobie ze mną. Oto, co przygnało mnie dzisiaj do boru. Chcę sprawdzić, kto z nas dwóch jest naprawdę sprytniejszy. Do tej pory ani w Przasnyszu, ani w okolicy konkurenta w tym względzie nie miałem.

— Gotów jestem założyć się o najwyższą nagrodę, jaśnie panie starosto, że wygram pojedynek między nami dwoma.

— Chcesz się założyć? — pan Wolski zmarszczył czoło. — A nie można by tego załatwić inaczej? Szlachcicowi z dziada pradziada, a do tego jeszcze i staroście, nie przystoi trzymać zakład z byle chłopem.

— Puszczak nie jest pańszczyźnia-

nym chłopem, nie jest żadnym byle kmiotkiem — obruszył się Maćko. — Puszczak jest człekiem wolnym. Chronionym w Zagajnicy przez królewskie nadania i przywileje.

— Zgoda, zbóju. Niechaj będzie, jak powiadasz. Bierzmy się zatem za bary, bo niecierpliwość spala mnie od środka niczym mocna gorzałka.

— Nie tyle za bary, co za języki — roześmiał się puszczak. — I za dowcipne fortele. Zanim jednakże spróbujemy udowodnić sobie, kto z nas dwóch jest sprytniejszy, kto kogo wyprowadzi w pole, mam do ciebie, jaśnie wielmożny starosto, dwie maleńkie prośby.

— Jakie? Gadajże. Byle szybko.

— Przede wszystkim odeślij stąd mego kamrata, a twego sługę. Jeśli wygrasz, rozgłoszę po całym borze, a także na jarmarku w Przasnyszu o twojej przewadze. Jeśli przegrasz, po cóż ci świadek z tak marnego stanu? Własną sromotę lepiej jest zawsze przetrawiać w samotności.

— Słyszałeś, Kuternogo? — pan Wolski skinął ręką na sługę. — Jedź teraz na ryby. Tylko wróć tutaj za dwie godziny. Tyle czasu wystarczy mi w zupełności.

Zaledwie Staszko Kuternoga zniknął na swoim podjezdku w zaroślach, puszczak poklepał się niespokojnie po kieszeniach, pomacał za pazuchą, po czym zasępił się i zaczął burczeć cosik pod nosem.

— Co tam mruczysz? Czemu zwlekasz, zbóju? Gdzież ta twoja druga prośba?

— Zapomniałem szyszki z domu. Niestety, panie starosto, nie mogę dziś stawać do pojedynku.

— Jakiej znów szyszki? Co ty pleciesz, zbóju? Zbaraniałeś na starość?

— Mówię o diabelskiej szyszce, którą wygrałem w karty od samego Boruty. Wierzę, że przynosi mi szczęście. Bez niej ci nie podołam. Jaśnie wielmożny panie starosto, przełóżmy naszą próbę na kiedy indziej. Może na jutro? Albo na pojutrze? Lub nawet za tydzień?

— Cóż ty sobie wyobrażasz, świński ogonie? Że przyjechałem do puszczy taki kawał drogi nadaremnie? Tylko głupek może wierzyć w moc sosnowych owoców. Mądrość i spryt zależy nie od diabelskich szyszek, lecz od tego, co kryje się pod własną czupryną.

— Kiedy bez szyszki nie mogę — jęknął rozpaczliwie puszczak. — Pobiegłbym po nią do chałupy, ale piechotą w godzinę przecież nie zdążę.

— No, to weź mojego konia — zirytował się pan Wolski. — Ja tymczasem popilnuję twojego wieprzka.

Zrobili, jak postanowił przasnyski starosta. Maćko pogalopował w stronę chałupy po Borutową szyszkę, pan Wolski zaś siadł w cieniu jałowca dzierżąc na rzemieniu łaciatego prosiaka.

Taki obrazek zastał Staszko Kuternoga, kiedy po dwóch godzinach przybył pod trzy dęby z kilkoma okoniami i sumami nanizanymi na pręt świeżej wikliny.

— Oho, widzę, że już po wszystkim. Tego się właśnie obawiałem, wielmożny panie. Maćko to prawdziwy spryciarz. Dokonał nie byle sztuki wymieniając z wami, panie, zwyczajnego prosiaka na wspaniałego gniadosza. Wsiadajcie na mojego podjezdka, aby nie drałować piechotą. Ja zaś wezmę tę świnkę. Nie mamy na co czekać tutaj dłużej. Zaraz będzie zmierzchać.

Dopiero teraz pan starosta zrozumiał, kto tu okazał się naprawdę sprytniejszy. Bez słowa wgramolił się na siodło i ze spuszczoną głową ruszył w kierunku Przasnysza.

Od tamtej pory krąży wśród Kurpiów przysłowie: „Więcej wart garniec przasnyskiego piwa niźli najsprytniejszy z przasnyskich starostów".

Zdzisław Nowak

Rys. Jerzy Flisak

SŁONECZNE WIERSZE

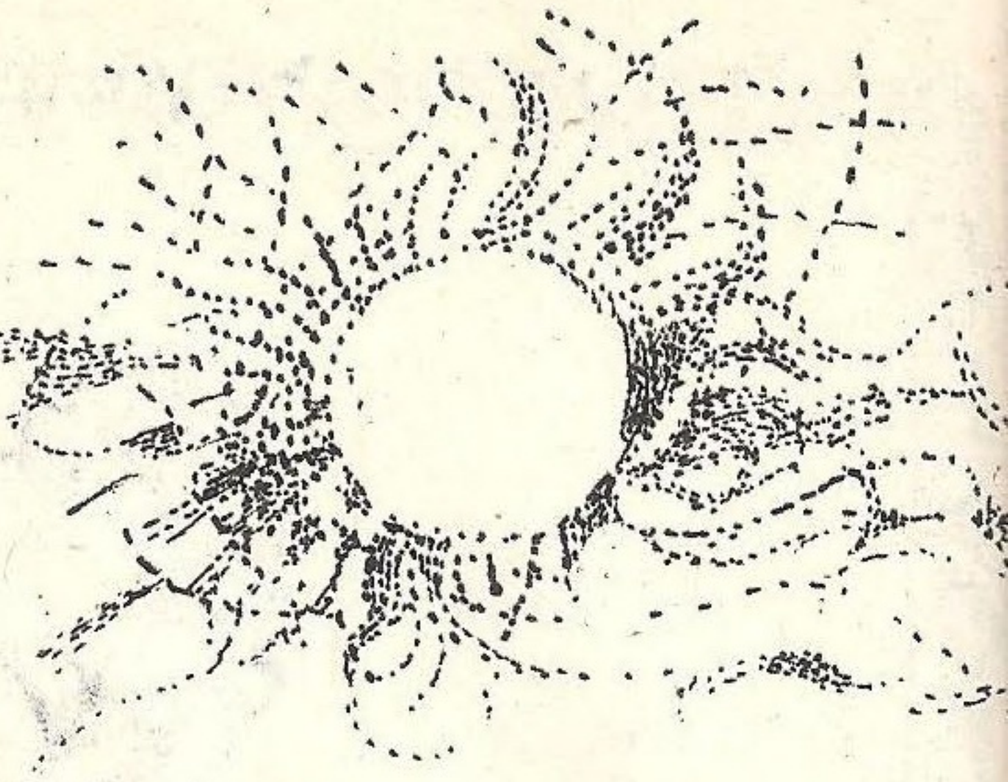

SŁONECZNIKI

Słonecznik górujący nad całym ogrodem
słońcu w oczy zagląda twarzą krągłą, tłustą,
jakby czekał rozkazów, był gotów do usług,
więc syty i pogodny.
Cóż, ma olej w głowie.

Urszula Koziot

* * *

Kto patrzy w słońce?
Słonecznik!
I my też! I my też!
Wracamy z wędrówki, z wycieczki,
w plecaku piosenka i wiersz.

Kto cieszył się słońcem, tym słońcem
lipcowym, sierpniowym, gorącym?
My!
Kto patrzy w słońce?
Słonecznik.
My czekamy — na dzwonek słoneczny!

Tadeusz Kubiak

DMUCHAWIEC

Jeszcze wczoraj był żółty
jak maleńkie słońce,
dziś jest białą latarnią
co świeci na łące.

Włodzimierz Scisłowski

CZEMU TY, SŁONECZKO

(fragmenty)

Czemu ty, słoneczko,
krzywo na mnie patrzysz?

Chciałem zjeść jabłuszko
przekrojone na krzyż.
(...)

Chciałem zjeść jabłuszko
pod wysokim świerkiem.

Krzywo na mnie patrzysz,
gaśniesz już za wierchem.

Tadeusz Kubiak

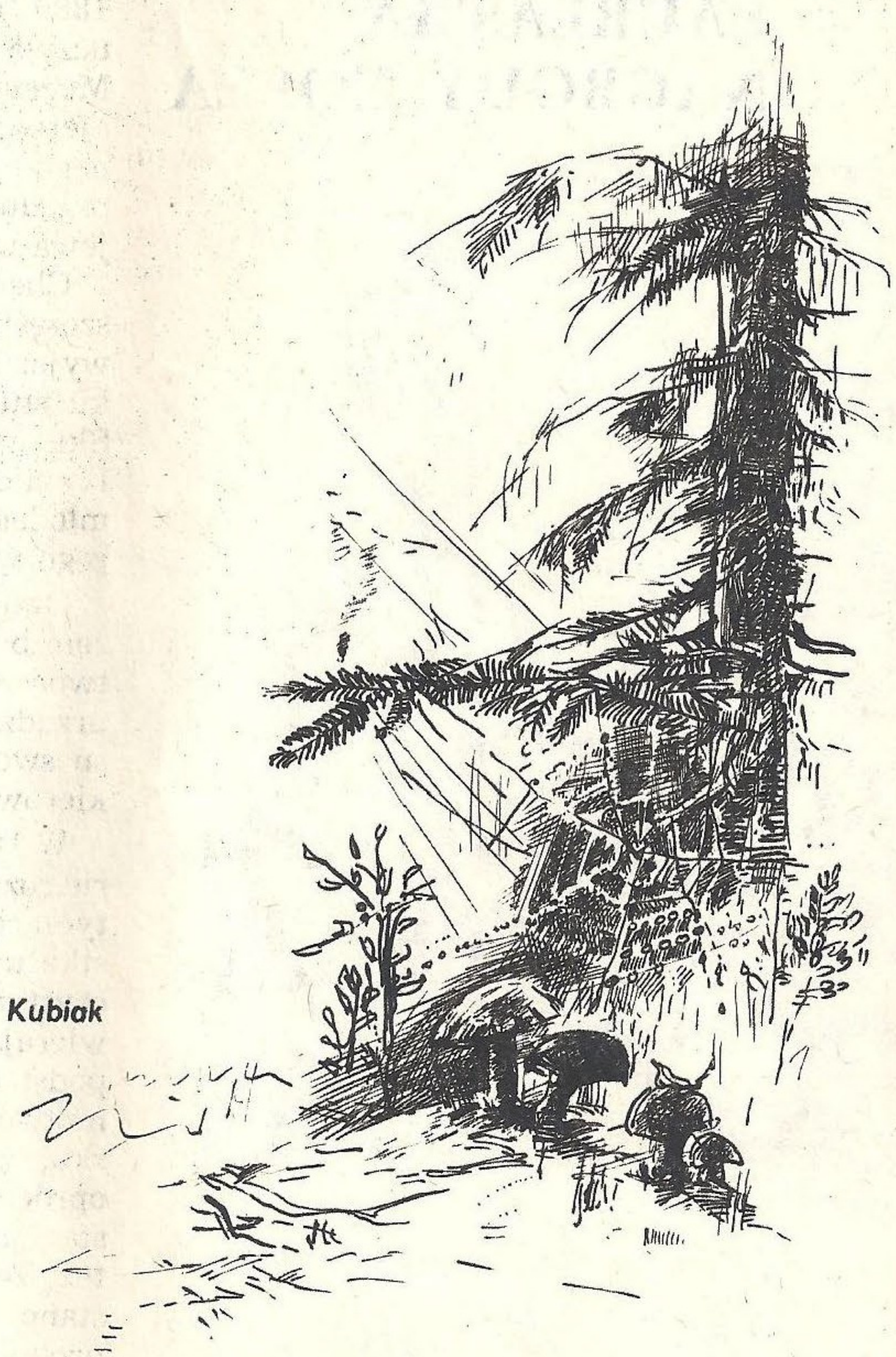

Rys. Barbara Mudryk-Gołdon

POLACY ŚWIATU

DWUKROTNA LAUREATKA NAGRODY NOBLA

Moja najgorętsza życzenia jest powstanie Instytutu Radowego w Warszawie.
Maria Skłodowska-Curie

MARIA SKŁODOWSKA-CURIE

Maria Skłodowska urodziła się 7 listopada 1867 roku w rodzinie nauczycielskiej w Warszawie; w domu jej urodzenia przy ulicy Freta mieści się obecnie muzeum. W 1883 roku ukończyła ze złotym medalem III Gimnazjum Żeńskie w Warszawie, potem uczyła się w nielegalnym Uniwersytecie Latającym. Od 1886 roku pracowała jako guwernantka w majątku ziemskim w okolicy Płocka, gdzie uczyła również dzieci wiejskie. W 1889 roku wróciła do Warszawy i uczyła się dalej w pracowni naukowej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, gdzie kierownikiem laboratorium chemicznego był jej wuj, Józef Jerzy Boguski, przedtem asystent Dymitra Mendelejewa w Petersburgu.

Chęć do nauki, a po trosze i nieszczęśliwa miłość, skłoniły Marię do wyjazdu do Francji, gdzie od 1891 roku studiowała w paryskiej Sorbonie. Skłodowska skończyła nauki fizyczne i matematyczne. W Paryżu poznała młodego fizyka, Piotra Curie, za którego wyszła za mąż w roku 1895 .

Oboje małżonkowie prowadzili razem badania naukowe nad promieniotwórczością w skromnej pracowni urządzonej w zwykłej szopie. Do czasu swej śmierci pracami badawczymi kierował Piotr Curie.

W 1897 roku Maria Skłodowska-Curie rozpoczęła prace doświadczalne dotyczące promieniotwórczości pierwiastka uranu. Badała nie uran w stanie czystym, ale tzw. blendę smolistą, zawierającą nieco tego pierwiastka. Na podstawie pomiarów działania promieniotwórczego blendy doszła do wniosku, że musi się w niej znajdować oprócz uranu jeszcze jakaś inna substancja promieniotwórcza. Stwierdziła też, że owa nie znana w nauce substancja wykazuje znacznie silniejsze promieniowanie niż uran.

Skłodowska ogłosiła komunikat o swym spostrzeżeniu. Teraz oboje z mężem przystąpili do pracy nad wydzie-

leniem owej substancji i określeniem jej właściwości. Po kilku miesiącach badań mogli zawiadomić Francuską Akademię Nauk o odkryciu nowego pierwiastka promieniotwórczego, który na cześć ojczyzny Marii nazwali polonem. Dalsze wnikliwe dociekania pozwoliły im stwierdzić, że obok polonu w badanej blendzie znajduje się jeszcze inna, nie znana substancja promieniotwórcza. Wkrótce i ją udało się im wyodrębnić. W ten sposób odkryli następny pierwiastek, który nazwali radium, co po łacinie znaczy: „promienisty". Po polsku nazywamy ten pierwiastek radem. Okazał się on jak dotychczas ważniejszy od swego „bliźniaka" polonu. Zastosowano go bowiem w medycynie do leczenia nowotworów.

Odkrycia radu i polonu dokonali małżonkowie Curie w roku 1898. Polon stał się znany w lipcu, rad zaś w grudniu tego roku. Maria Skłodowska-Curie tak o tym pisze:

„Byliśmy w tym okresie zupełnie pochłonięci przez nową dziedzinę, która otwierała się przed nami dzięki tak nieoczekiwanemu odkryciu. Pomimo trudnych warunków pracy czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Dnie upływały w laboratorium i często zdarzało się nam nie wychodzić nawet na obiad.

Nasza uboga szopa była przybytkiem wielkiego spokoju. Czasem, pilnując jakiegoś doświadczenia, przechadzaliśmy się po niej wzdłuż i wszerz, rozmawiając o bieżącej i przyszłej pracy; w zimne dnie ogrzewała nas szklanka herbaty przy gorącym

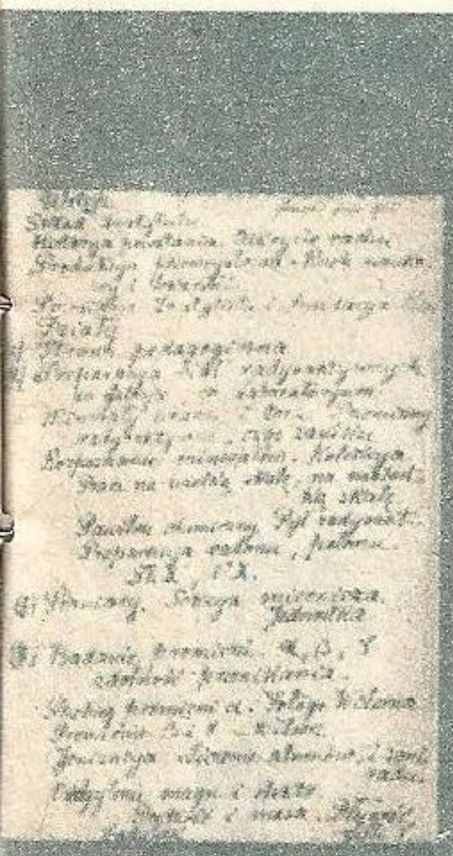

Maria Skłodowska-Curie

1867-1934

Maria i Piotr Curie w roku 1904

piecu. Żyliśmy jedną tylko myślą, jak we śnie czarodziejskim... Zdarzało się nam także odwiedzać nasze królestwo wieczorem. Cenne produkty, dla których nie mieliśmy lepszego schronienia, pozostawiane były na półkach i stołach — ze wszystkich stron witały nas blade, rozproszone światełka, jakby zawisłe w ciemnościach... Były one dla nas zawsze nowym źródłem wzruszenia i zachwytu..."

Państwo Curie oddali swe odkrycia dla dobra ludzkości. Nie opatentowali metod otrzymywania radu i polonu, nie chcąc czerpać ze swych osiągnięć naukowych żadnych korzyści materialnych. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że nie powodziło im się wówczas najlepiej, a prowadzone przez nich badania były dosyć kosztowne.

W świecie naukowym rezultaty badań małżonków Curie i wypływające z nich wnioski stały się prawdziwą sensacją. Podważyły one dotychczasowy pogląd o niezmienności pierwiastków. Doświadczalnie stwierdzono, że pierwiastki promieniotwórcze ulegają nieustannym przemianom, przekształcając się w inne pierwiastki.

W roku 1903 Marii Skłodowskiej-Curie i Piotrowi Curie przyznano Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Podzielili ją z Henri Becquerelem, odkrywcą promieniotwórczości naturalnej, którą ten uczony zaobserwował w 1896 roku, w czasie badań związków uranu.

Po śmierci męża, który zginął w 1906 roku w wypadku, Maria Skłodowska-Curie objęła na paryskiej Sorbonie katedrę fizyki ogólnej i promieniotwórczości. Niestrudzenie prowadziła dalej badania polonu i radu. Dążyła zwłaszcza do wydzielenia czystego radu, otrzymywanego dotąd tylko w postaci związków z innymi pierwiastkami. Udało jej się tego dokonać w roku 1910.

W tym samym roku przewodniczyła międzynarodowemu kongresowi radiologicznemu, który odbył się w Brukseli. Ustalono na nim jednostkę promieniotwórczości i nazwano ją, na cześć małżonków Curie, ich nazwiskiem.

Za swoje osiągnięcia w roku 1911 otrzymała Maria Skłodowska-Curie po raz drugi Nagrodę Nobla, tym razem w dziedzinie chemii.

Maria Skłodowska-Curie uczyniła wiele dla wykorzystania leczniczych właściwości radu. Podczas pierwszej wojny światowej brała czynny udział w niesieniu pomocy rannym i chorym żołnierzom oraz w organizacji służby radiologicznej w przyfrontowych szpitalach polowych. Za te zasługi wybrano ją na członka Paryskiej Akademii Medycyny.

Maria Skłodowska-Curie pomagała w utworzeniu laboratorium radiologicznego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i brała udział w jego otwarciu w roku 1913. Objęła, na zaproszenie TNW, kierownictwo naukowe Pracowni Radiologicznej im. Mirosława Kernbauma i skierowała do niej swoich współpracowników. Z wielką radością powitała ogłoszenie niepodległości Polski. Chociaż nie wróciła do kraju, utrzymywała kontakty z nauką polską, a w 1932 roku przybyła do Warszawy na uroczyste otwarcie Instytutu Radowego jej imienia, utworzonego wysiłkiem całego społeczeństwa. Ofiarowała wówczas Instytutowi 1 gram radu zakupiony z funduszów uzyskanych ze zbiórek pieniężnych. W Paryżu stale pracowali pod jej kierownictwem stypendyści polscy.

Maria Skłodowska-Curie zmarła 4 lipca 1934 roku. Zachorowała na anemię złośliwą, której przyczyną było bez wątpienia długoletnie stykanie się z substancjami promieniotwórczymi.

Bolesław Orłowski

WALKA O RAD

Odkrycie dwóch nowych radioaktywnych pierwiastków powinno było zadowolić ambicję młodej uczonej, jaką była Maria Curie. Ale dla Marii był to dopiero pierwszy etap jej pracy. Rad jest odkryty. Wiadomo, że w pechblendzie znajduje się nowy pierwiastek, posiadający niezwykłą radioaktywność. Przed Marią staje teraz drugie zadanie: otrzymanie radu w czystej postaci.

Zdawałoby się — zadanie ponad jej siły i możliwości. Rad znajduje się w pechblendzie w tak minimalnej ilości, że aby go wyodrębnić, trzeba przerobić kilka ton tej rudy. A skąd otrzymać taką masę pechblendy? Pechblenda jest minerałem bardzo drogim i znajduje się w Europie tylko w jednej jedynej kopalni w Czechach, gdzie wydobywają z niej uran. Genialna intuicja przychodzi z pomocą obojgu uczonym. Według ich przewidywań, przy otrzymywaniu uranu z pechblendy cząsteczki polonu i radu powinny pozostawać nienaruszone w odpadkach pechblendy. Czyżby więc nie można było otrzymać tych odpadków? Na szczęście, odpadki owe zsypywano w Czechach na piaszczyste ugory, porosłe

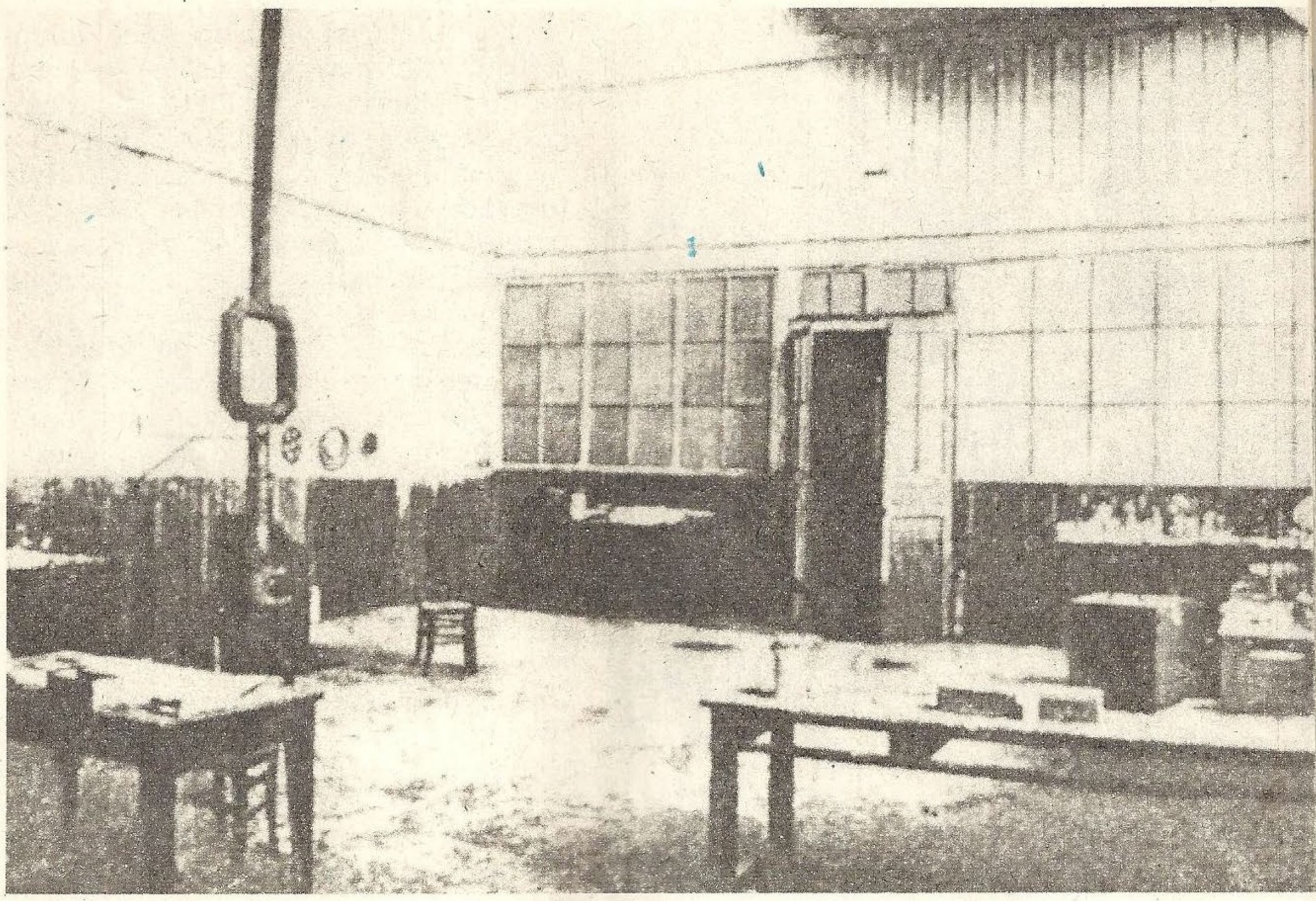

Prowizoryczne laboratorium w „historycznej" szopie przy ulicy Lhomond

sosną. Dzięki wstawiennictwu Akademii Umiejętności w Wiedniu, rząd austriacki zgadza się wspaniałomyślnie odstąpić parę ton tych odpadków dwom maniakom, którym są potrzebne. Pozostaje jeszcze wyszukanie odpowiedniego budynku, gdzie można by przerobić pechblendę. Po długich poszukiwaniach Piotr Curie zwrócił uwagę na zapuszczony budynek z glinianą podłogą i oszklonym dziurawym dachem, dawne prosektorium Wydziału Medycznego. Szkoła zgadza się odstąpić ten budynek małżonkom Curie dla badań naukowych.

Pewnego dnia przybywa wreszcie długo oczekiwana pechblenda. Ewa Curie w biografii swej matki tak opisuje ten moment: „Drżąca z niecierpliwości Maria musi zaraz, nie czekając, otworzyć worek, zobaczyć swój skarb. Przecina sznury, rozwiązuje grube płótno, zanurza ręce w brunatnej rudzie, w której tkwią jeszcze igły czeskich sosen. Tu kryje się rad. Stąd Maria musi go wydobyć, choćby jej przyszło przerobić całą górę tego proszku, który wygląda jak wyschłe błoto, jak kurz".

Wspominając później tę cztery lata trwającą walkę o rad, Maria musi przyznać, że był to najbardziej bohaterski okres w życiu jej i Piotra. Już w pierwszym roku badań zmuszeni byli podzielić między siebie funkcje. Przy tym podziale pracy Maria wzięła na siebie cięższą, męską robotę. W budynku, przy długich stołach, Piotr bada własności ciał radioaktywnych za pomocą instrumentów fizycznych — na dziedzińcu Maria, w starym kitlu, przeżartym przez kwasy, w dymie, który ją drapie w gardle i kłuje w oczy, zajmuje się wydobyciem radu.

Maria Skłodowska-Curie z córką Ireną

„Musiałam przerabiać około dwudziestu kilo materiału na raz — pisze później Maria — skutkiem czego całą szopę trzeba było zastawić wielkimi saganami roztworów i osadów. Była to praca nie lada: przenosić naczynia, przelewać ich zawartość, mieszać godzinami roztopioną masę w żelaznych kotłach". (...)

... Wreszcie w 1902 roku, po czterdziestu pięciu miesiącach walki, Maria Curie odnosi zwycięstwo: otrzymuje 1/10 grama czystej soli radu. Ciężar atomowy tego nowo narodzonego metalu wynosi 226. (...)

...Pierwszy wykład Marii Curie jest wyznaczony na 5 listopada 1906 roku. Ale gazety paryskie już kilka dni przedtem wszczynają akcję bojową. Chodzi o salę. Maria Curie rozpoczyna swój kurs fizyki w tak zwanym „amfiteatrze kursów". Amfiteatr ten posiada zaledwie 120 miejsc, przeznaczonych dla studentów. A gdzie miejsca dla dziennikarzy i dla publiczności, która ma przecież też prawo posłuchać słynnej Madame Curie?

„Czyż więc dla tej okazji, jedynej w historii Sorbony, nie można odstąpić od tradycji i oddać do rozporządzenia Madame Curie wielkiego amfiteatru dla jej pierwszego wykładu?"

Pierwszy występ Marii Curie budzi

Maria Skłodowska-Curie w gronie wybitnych uczonych na konferencji zorganizowanej w 1911 r. przez belgijskiego chemika Ernesta Solvay'a. Obecny był m. in. Albert Einstein (stoi drugi od prawej)

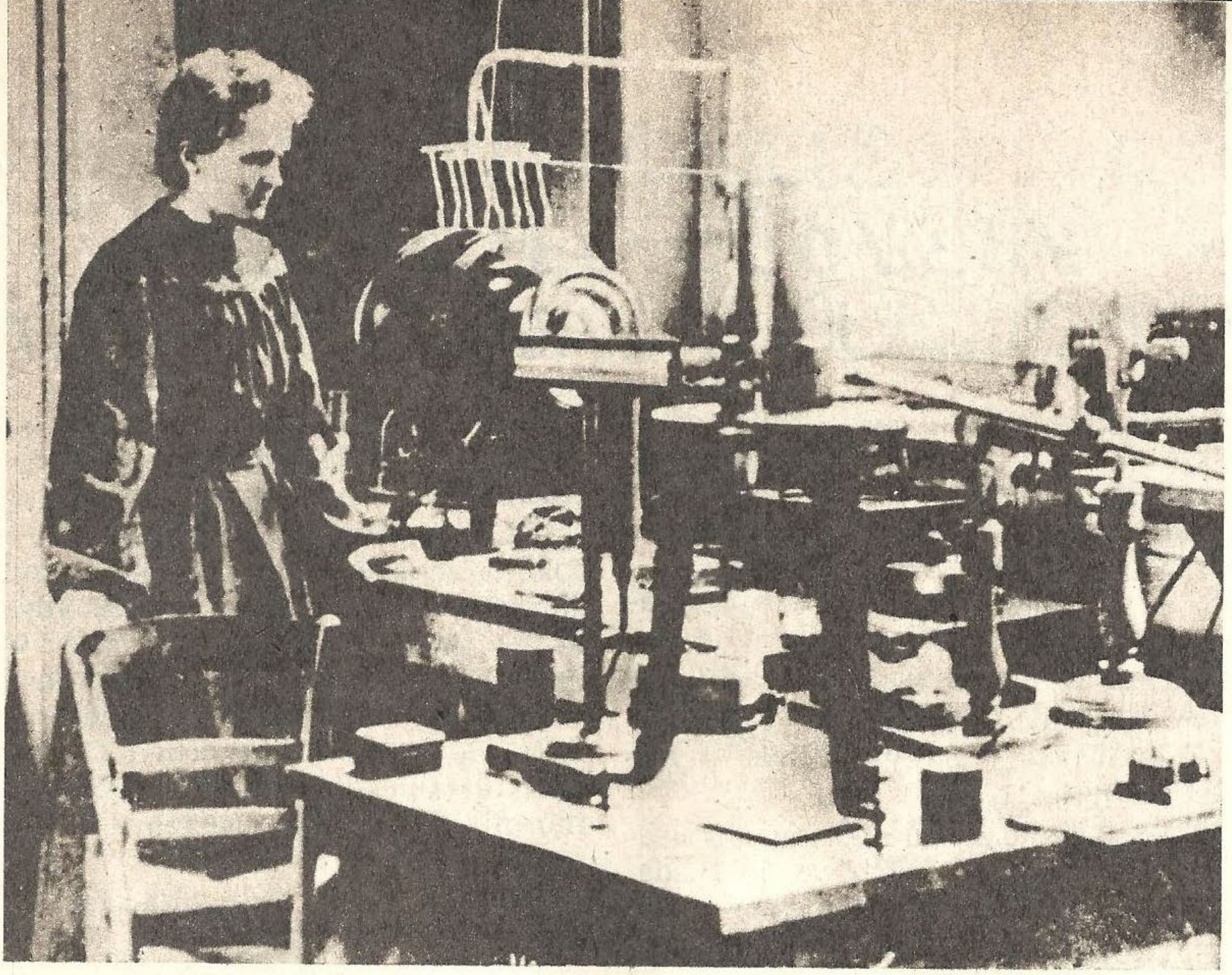

wielkie zainteresowanie w Paryżu. Jest sensacją dnia. Nic dziwnego, Maria Curie jest pierwszą kobietą wykładającą w Sorbonie, jest odkrywczynią radu, jest wdową po słynnym uczonym i jest ponadto cudzoziemką.

5 listopada mały amfiteatr Sorbony jest pełen po brzegi.

Publiczność tłoczy się w korytarzach i na schodach. Wśród tej różnorodnej publiczności studenci z trudem odnajdują sobie miejsca.

„Jest 25 minut po pierwszej. Gwar rozmów cichnie. Ludzie szepczą, pytają jedni drugich, wyciągają szyje, aby nic nie stracić z chwilą ukazania się Madame Curie. Wszystkich na sali zajmuje jedna myśl. Jakie będą pierwsze słowa nowego profesora, jedynej kobiety, którą Sorbona zaliczyła w poczet swych profesorów? Czy zacznie ona od podziękowania ministrowi, uniwersytetowi? Czy będzie mówiła o Piotrze Curie? Tak, bez wątpienia. Zwyczaj wymaga, aby nowy profesor wygłosił pochwałę swego poprzednika. Ale w danym wypadku ten poprzednik był mężem, towarzyszem pracy. Jakaż pełna napięcia sytuacja! Chwila jest wzruszająca, jedyna.

Godzina bije. Drzwi w głębi otwierają się i ukazuje się Madame Curie wśród burzliwej owacji. Maria podchodzi do katedry... Pochyla głowę suchym ruchem, który ma być ukłonem... Czeka, aż zmilknie owacja. Oklaski milkną nagle. Wobec tej bladej, czarno ubranej kobiety, starającej się panować nad sobą, nieznane wzruszenie ogarnia tłum, co przyszedł tu jak na widowisko.

Maria, patrząc przed siebie, mówi:

„Gdy rozważamy postępy fizyki w ciągu ostatnich lat dziesięciu, zdumiewa nas zmiana, jaka zaszła w naszych pojęciach o elektryczności i materii".

Maria rozpoczyna swój kurs od tego zdania, na którym Piotr Curie go przerwał. (...)

Helena Bobińska

(Fragmenty książki pt. „Maria Curie Skłodowska")

CIĄG DALSZY PRZYGÓD GELSOMINA W KRAJU KŁAMCZUCHÓW

Król Giacomone niecierpliwie oczekiwał, aż słudzy otworzą mu drzwi balkonu, w odpowiedzi na głos Gelsomina w całym pałacu z trzaskiem posypały się szyby.

— Czy nie można ostrożniej? — zawołał Giacomone do służących.

I znów usłyszał „trach-trach!" ze swej własnej sypialni.

— Lustro! — krzyknął król. — Kto stłukł moje ulubione lustro?

Zdziwiony, że mu nikt nie odpowiada, Jego Wysokość obejrzał się. Biedaczysko! Dokoła by zupełnie pusto.

Ministrowie, admirałowie, dworzanie i szambelani przy pierwszym sygnale niebezpieczeństwa, to znaczy przy pierwszym wysokim tonie Gelsomina, skoczyli do swych pokojów. Bez ceremonii zrzucili wspaniałe, dworskie stroje, które nosili od tylu lat, i zaczęli wyciągać spod łóżek walizy z pirackimi ubiorami.

Przy królu Giacomone zostali tylko dwaj słudzy. Do ich obowiązków należało otwieranie i zamykanie balkonowych drzwi. I chociaż już w tych drzwiach nie było szyb, słudzy stali jak wrośnięci w ziemię i od czasu do czasu koronkami swoich mankietów przecierali klamki.

— Umykajcie i wy — westchnął Giacomone — już wszystko jedno. Cały pałac zaraz się rozleci.

Rzeczywiście, w tej samej chwili, zupełnie jak pukawki, zaczęły trzaskać lampki w żyrandolach — to Gelsomino śpiewał coraz głośniej.

Słudzy nie kazali się prosić. Cofając się i kłaniając co trzy kroki, dobrnęli do drzwi wiodących na schody. Tutaj dopiero odwrócili się i, aby szybciej znaleźć się na dole, zjechali po poręczach.

A król Giacomone poszedł do swego pokoju, zdjął królewski strój i włożył ubranie, które kupił na wypadek, gdyby nie poznany chciał się znaleźć w tłumie (później go nie używał, gdyż między ludzi wolał wysyłać szpiegów). Było ono brązowe, stosowne na przykład dla jakiegoś kasjera lub profesora filozofii. Jak dobrze harmonizowała z nim pomarańczowa peruka!

Niestety, trzeba było zdjąć także i perukę, gdyż Giacomone nosił ją zawsze wraz z królewskim strojem.

— Moja ulubiona peruka! — westchnął. — Moje śliczne peruki!

I otworzył szafę, gdzie równymi rzędami leżały peruki niczym głowy marionetek przygotowanych do przedstawienia.

Król Giacomone nie mógł znieść tego widoku. Złapał dobry tuzin peruk i wepchnął do walizy.

— Wezmę was ze sobą na wygnanie. Będziecie mi przypominać minione bezpowrotnie szczęśliwe dni!

Tymczasem jego dworzanie zbiegli aż do podziemi i jak szczury wpychali się do kanałów. Giacomone wolał wyjść do swego pięknego parku, który przestał już być królewskim parkiem, ale pomimo to był nadal piękny, zielony, przepojony cudownymi zapachami. Król Giacomone oddychał jeszcze trochę tym rzeczywiście królewskim powietrzem, po czym otworzył małą furtkę, wychodzącą na jakiś zaułek, upewnił się, że go nikt nie widzi, i przeszedł sto kroków, znalazł się na

placu w gąszczu ludzi entuzjastycznie oklaskujących Gelsomina.

Nikt nie poznał króla, bowiem po raz pierwszy pokazał się na ulicy łysy. Brązowy garnitur i walizeczka, którą trzymał w ręce, nadawały mu wygląd podróżnego.

— Pan pewnie nietutejszy? — zapytał nagle jakiś człowiek klepiąc go przyjaźnie po ramieniu. — Niech pan posłucha, niech pan posłucha, jak śpiewa nasz Gelsomino! O, tam, widzi pan? Ten młodzieniaszek... Gdyby go pan zobaczył na wyścigach kolarskich, nie postawiłby pan na niego dwóch soldów. A pomimo to, słyszy pan, jaki głos?!

— Słyszę, słyszę — mruknął Giacomone, a do siebie dodał: — i widzę.

Rzeczywiście zobaczył, jak na kawałki rozpadł się jego ulubiony balkon, zobaczył też, czego już z pewnością się domyślacie, jak królewski pałac runął niczym domek z kart, któremu odechciało się już stać, i wzbił ogromną chmurę pyłu.

Gelsomino wziął jeszcze jakąś wysoką nutę, żeby rozwiać pył, i wszyscy ujrzeli ruiny.

— Przepraszam — zwrócił się znów do króla sąsiad w tłumie — czy pan wie, że ma pan wspaniałą łysinę? Nie obrazi się pan, że to mówię? Zresztą niech pan spojrzy i na moją.

Giacomone przesunął dłonią po swej głowie i zgodnie z prośbą sąsiada spojrzał na jego głowę, łysą i okrągłą jak piłeczka pingpongowa.

— Rzeczywiście, piękna łysina — powiedział.

— Ależ skąd! Zupełnie przeciętna. Pańska jest wspaniała, a jeszcze gdy

padnie na nią słońce, zalśni cudownie, aż oczy będą bolały.

— Dość, dość, pan jest zbyt uprzejmy — mruknął Giacomone.

— Ależ ja nie przesadzam! Wie pan, co powiem? Gdyby pan był członkiem naszego Klubu Łysych, na pewno wybrano by pana prezesem.

— Prezesem?

— I to jednogłośnie!

— A więc macie Klub Łysych?

— Oczywiście! Był czas, kiedy ten klub musiał być tajny, ale teraz się ujawni. Najlepsi obywatele są członkami tego klubu! I wcale niełatwo być tam przyjętym. Trzeba dowieść, że nie ma się ani jednego włosa na głowie. Są tacy, którzy wyrywają sobie ostatni, aby wejść do naszego klubu.

— I pan mówi, że ja?...

— Pan może zostać naszym prezesem. Jestem gotów się o to założyć.

Korzystając z zamieszania w tłumie, Giacomone oddalił się od swego sąsiada, opuścił plac i skierował kroki w puste ulice, a w jego walizce smutno szeleściło dwanaście peruk. Tu i tam mignęły mu jakieś niby znajome twarze. Czyżby to byli jego piraci?... Ale te twarze szybko kryły się przed takim obywatelem jak on: łysym, ciemno odzianym, pełnym spokoju i godności.

Giacomone zwrócił się w kierunku rzeki, zdecydowany położyć kres swoim dniom. Ale kiedy znalazł się na brzegu, zmienił decyzję. Otworzył walizkę, wyjął peruki i jednym ruchem wrzucił je do wody.

— Żegnajcie — szepnął — żegnajcie, kochane kłamczuszki.

Giacomone odchodził na zawsze i był prawie szczęśliwy, że może odejść, aby zostać prezesem lub przynajmniej sekretarzem szacownego Klubu Łysych.

My tymczasem wracajmy na plac, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Skończywszy swoją pieśń, Gelsomino otarł pot z czoła i mruknął:

— A więc stało się...

Było mu jednak ciężko na sercu. Zoppino ciągle jeszcze się nie odnalazł.

„Gdzież on może być? — pytał sam siebie. — Czyżby został pod gruzami domu dla obłąkanych?"

Nagle tłum odwrócił jego uwagę od smutnych myśli.

— Kolumna! — krzyczano ze wszystkich stron. — Trzeba zburzyć kolumnę!

— Dlaczego?

— Wyobrażone są na niej wyprawy wojenne króla Giacomone. A to wszystko jest kłamstwem, gdyż Giacomone nigdy nie ruszał się ze swego pałacu.

— Dobrze — powiedział Gelsomino — kolumnie też zaśpiewam serenadę. Rozejdźcie się trochę, żeby kogoś nie przygniotła.

Ludzie, którzy stali dokoła kolumny, zaraz się cofnęli, a tłum na całym placu zakołysał się niczym woda w wannie. I wtedy Gelsomino ujrzał na kolumnie, o jakieś dwa metry od ziemi, dobrze znaną sylwetkę trójnogiego kotka.

— Zoppino! — krzyknął radośnie.

Rysunek zakołysał się, jego cienkie linie na chwilę wygięły się i zastygły w bezwładzie.

— Zoppino! — zawołał Gelsomino jeszcze głośniej.

Tym razem głos przeniknął marmur, przezwyciężył jego twardość i Zoppino, oddzieliwszy się od kolumny, zeskoczył na ziemię.

— Ach! Jak to dobrze — zamiauczał całując Gelsomina w policzek. — Gdyby nie ty, pozostałbym przylepiony do tej głupiej kolumny i w końcu zmyłby mnie deszcz. Lubię czystość — to wszyscy wiedzą. Ale nie uśmiechałoby mi się zginąć od mycia.

No, a co z kolumną?

Kolumna nikomu nie przeszkadza. Przeciwnie, fałsz przedstawiony na niej będzie ludziom przypominał, że kiedyś w ich kraju panował wielki kłamczuch i że wystarczyło pięknie za-

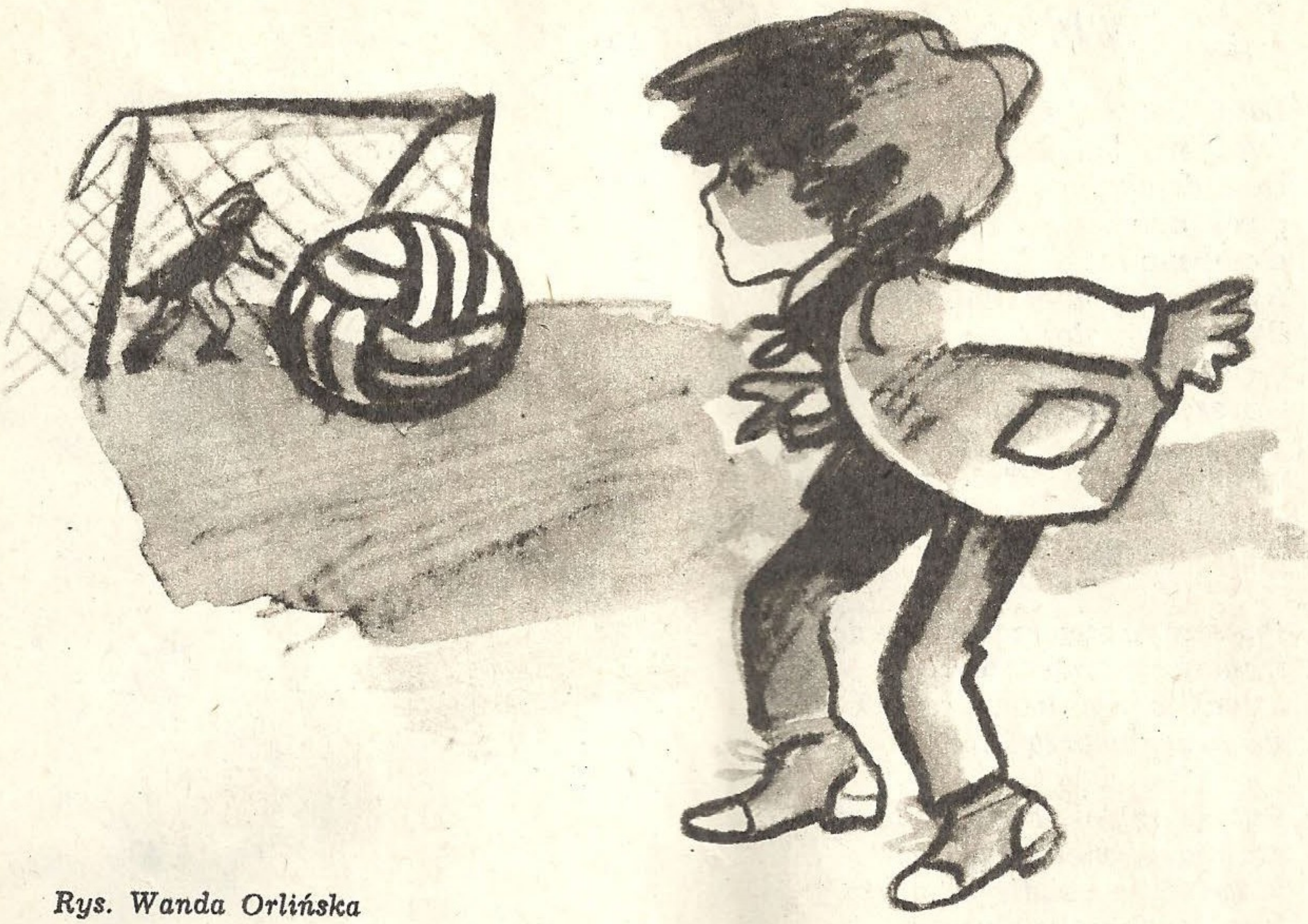

Rys. Wanda Orlińska

śpiewać pieśń, aby zburzyć jego królestwo.

Nowi ministrowie oświadczyli:

— Nie jesteśmy piratami jak Giacomone, wcale nie chcemy wojować!

Pewien dziennikarz udał się do Gelsomina, który teraz pilnie uczył się muzyki, aby jak najszybciej dać wreszcie prawdziwy koncert.

— Co pan myśli o wojnie? — zapytał go dziennikarz.

— O wojnie? — powtórzył pytanie Gelsomino. — Zaproponujcie przeciwnikom zorganizowanie dobrego meczu zamiast wojny. Wtedy, jeżeli nawet będzie kilka potłuczonych kolan, to w każdym razie krwi przeleje się bardzo mało.

Ta myśl przypadła na szczęście do gustu także stronie przeciwnej, ponieważ tam też nikt nie chciał wojować. I oto w jedną z najbliższych niedziel odbył się mecz piłki nożnej. Gelsomino oczywiście był sercem przy swojej drużynie i nawet tak się zapalił, że w którymś z ostrzejszych momentów nie wytrzymał i krzyknął: „Bij!" Wtedy piłka wpadła prościutko do bramki przeciwnika, jak to się już zdarzyło w pierwszym rozdziale.

Ale w tej samej chwili Gelsomino zawołał:

— Chcemy tylko honorowego zwycięstwa! W sporcie nie może być żadnego oszustwa!

I natychmiast strzelił gola również do drugiej bramki.

Na jego miejscu i wy zrobilibyście tak samo.

Gianni Rodari

Przekład i opracowanie
Hanny Ożogowskiej

(Fragmenty z książki „Gelsomino w Kraju Kłamczuchów")

LEŚNE SZCZĘŚCIE

Lato, pobądź z nami.
Lato, nie uciekaj.
Dom daleko,
gwar daleko,
ale blisko rzeka.
Nie licz nam, kukułko,
ile dni zostało,
bo leśnego szczęścia dla nas
zawsze będzie mało.

Tadeusz Śliwiak

* * *

Puszcza to zwierząt wielki dom,
trawami do snu usłany,
a dach w nim tworzą świerk i dąb,
sosny zaś tworzą ściany.

Pytasz, czy okna ma ten dom
szumiący, wielki, szeroki?
W księżyca świetle jezior sto
błyska jak setka okien.

Aleksander Rymkiewicz

POMOST

Pomost śpi.
Każda deska
zamknęła drewniane oczy.
W ciszy,
co siada na piasku,
już słychać kroki nocy.
Już koło ratunkowe
usypia w ciepłej ciszy.
Noc idzie
i cieniami
na wodzie nuty pisze.
Układa kołysankę
dla ryb,
dla wodnych ptaków —
na trzcinach ją śpiewa,
na liściach tataraku.

Dorota Gellner

Rys. Przemysław Woźniak

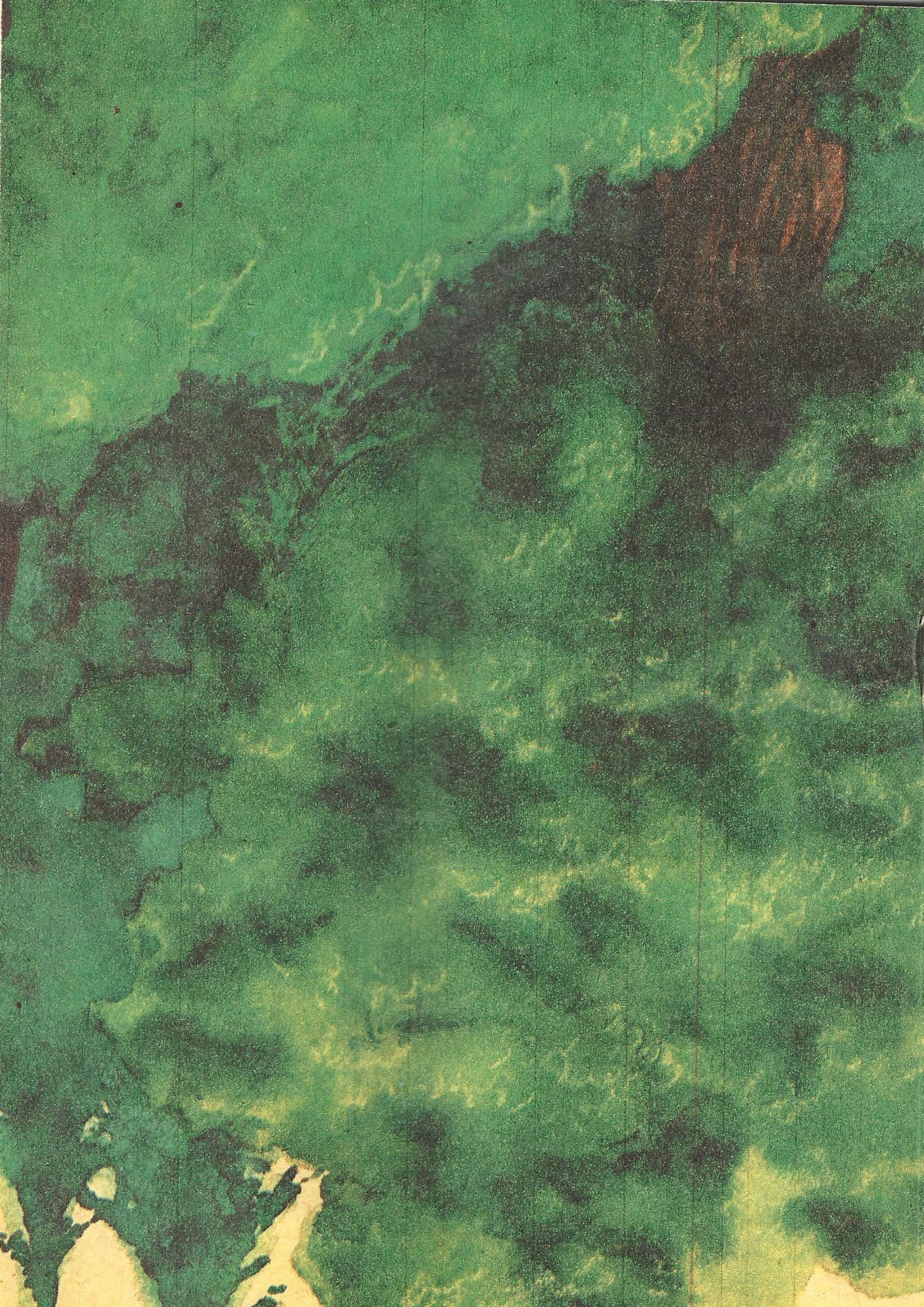

Tańczący słoń

Mężczyzna sięgnął wolno do kieszeni sportowej kurtki i wyjąwszy figurkę, uniósł ją na wysokość twarzy chłopca.

Bartek jęknął.

— To... to... znaczy, że są takie dwie figurki? — wyszeptał, jakby nie wierzył własnym słowom.

Krzywonos śledził każdy jego ruch, każde drgnięcie jego twarzy.

— Dwie? — chrząknął znacząco. — Dwie, a może więcej. Mnie na przykład ciekawi tą druga, o której wspomniałeś.

— Mogę panu poradzić, żeby pan się nie fatygował, bo ta druga już nie istnieje.

— Rozpłynęła się, przemieniła w smoka?

— Po prostu stłukła się na drobne kawałki.

— Bęc, to dopiero ciekawa historia.

— Jak dla kogo... — powiedział z namysłem. — Wypytuje mnie pan jak w śledztwie, a czy ja mogę panu zadać jedno pytanie?

— Proszę cię bardzo.

Bartek spojrzał mu natarczywie w oczy.

— Czego pan szuka tutaj pod „Goplaną" i czego wypatruje w oknach?

— Może ciebie, chłopcze, a może kogoś innego.

— To nie jest odpowiedź.

— Mam być szczery?

— Na to tylko czekam i umieram z ciekawości.

— Interesuje mnie jedna pani, która mi się bardzo podoba.

— Może taka na czarno ubrana? — strzelił na chybił trafił.

— No, proszę — pokręcił z uznaniem głową — jesteś domyślny i spostrzegawczy.

— I nic już więcej panu nie powiem. Niech pan sam zbiera informacje.

— Nie zrozumiałeś mnie. Mówię ci, że ta pani mi się podoba i chciałbym ją poznać.

— To niech pan szuka jej w „Jantarze".

— O widzisz, jednak dowiedziałem się tego, co mnie najbardziej interesuje.

Bartek aż syknął ze złości. Dopiero teraz zorientował się, że Krzywonos w sposób dziecinnie łatwy wyłudził od niego informację. Niby to udawał franta, a tymczasem podchodził go jak szczwany lis. Naburmuszył się.

Krzywonos klepnął go lekko w ramię.

— Dziękuję ci za wiadomości i polecam się na przyszłość. — Uniósł rękę pożegnalnym gestem. Bartek stał chwilę rozdrażniony. Wnet pocieszył się, że zdobył od tego tajemniczego osobnika równie ważne wiadomości.

Spojrzał w okno swego pokoju. Było przyciemnione zaciągniętą firanką, tylko w jednym kącie pokoju paliło się światło. Widocznie ojciec czytał w łóżku. Jeszcze raz się obejrzał, Krzywonos zniknął już za szpalerem drzew.

*

Kiedy pierwszy promyk przedarł się przez uchylone okno samochodowej przyczepy, Zulejka przeciągnęła się i ziewnąwszy spojrzała na legowisko ojca. Spod nasuniętego na głowę śpiwora sterczały tylko ciemne, skudlone włosy.

Śpi staruszek — pomyślała. — Niech sobie śpi. W nocy wypływał łodzią na ryby. — Jak gdyby dla potwierdzenia tych słów, spojrzała na bańkę w kącie, w której poruszały się ryby. — Okonie — oszacowała fachowo. — Będziemy mieli pyszny obiad.

W tym momencie, jakby pchnięta niewidzialną siłą, wyskoczyła z ciepłego legowiska. Przez jej wyobraźnię w błyskawicznym skrócie przewinął się sensacyjny film wczorajszego dnia. W umyśle pani inspektor zrodził się logiczny wniosek — trzeba działać. Chwyciła więc ręcznik i mydło, cicho wymknęła się z przyczepy, a potem, podtrzymując spadające spodnie od piżamy, sprintem pobiegła nad jezioro.

Chwilę stała urzeczona widokiem. Tafla jeziora marszczyła się lekko. W jej zwierciadle odbijały się przybrzeżne drzewa. Delikatne światło wysrebrzyło wodę i wyzłociło wysokie trzciny. Spoza trzcin wypłynęła kaczka z całym sznurem kacząteк. Z daleka wyglądały jak zabawki. I wielki perkoz wyłonił się z wody. Trzymał w dziobie szastającą się rybkę. Zdawało się, że dziób pulsuje mu srebrem.

Zulejka, oczarowana grą świateł na tafli jeziora, westchnęła radośnie. Wnet jednak, przypomniawszy sobie o czekających ją obowiązkach, podwinęła spodnie, weszła ostrożnie do wody. Brrr... wstrząsnęły nią dreszcze. Nic więc dziwnego, że pani inspektor, nie tracąc czasu, obryzgała sobie tylko wodą twarz — i na tym skończyła poranną toaletę. Miała już wracać, gdy wtem na wydeptanej przez wędkarzy ścieżce ujrzała Fajczarza. Tym razem nie miał fajki ani dżinsowego stroju. Był w dresie. Szybkim truchtem przemierzał umykającą przed nim przestrzeń.

— Sportowiec — wyszeptała ze zjadliwą ironią. Tak ją zaskoczył, iż pozwoliła mu zniknąć za poszarpaną linią trzcin. Wnet jednak rzuciła mydło i ręcznik i bez namysłu ruszyła w pościg.

Ścieżka prowadziła przez gęste zarośla brzegiem jeziora. W miejscu, gdzie brzeg wznosił się stromo nad wodą, wspinała się łagodnym zakosem pod skarpą porośniętą starymi bukami. Fajczarz z lekkością nastolatka pokonał wzniesienie. Zulejka tymczasem, zaplątawszy się w opadających do kolan spodniach od piżamy, potknęła się i tak mocno wyrżnęła nosem w pieniek, że w pogodny poranek ujrzała na niebie wszystkie gwiazdy. Kiedy się pozbierała, Fajczarz zniknął już za przechyłem. Zacisnęła więc zęby i, podtrzymując obiema rękami nieszczęsne spodnie, wspięła się na skarpę. A wtedy... Nie, to już przekraczało wyobraźnię nawet inspektora policji. Na niewielkiej polance, wśród wysokich paproci, ujrzała obok Fajczarza babcię Żednicką. Babcia wcale nie przypominała wczorajszej babci. Tryskała czerstwym zdrowiem i radością życia, a jej ubiór stanowiły sportowy dres i tenisówki.

O, moi państwo — pomyślała dziewczyna — ładne miejsce wybraliście sobie na tajne spotkania. — Ukryła się za pękatym pniem. Z wypiekami na twarzy obserwowała konspiratorów.

Oni tymczasem dreptali w miejscu, unosząc wysoko kolana, jak lekkoatleci przed startem.

Dreptajcie sobie, dreptajcie — snuła myśl. — Zobaczymy, co z tego dreptania wyniknie.

Po chwili tamci przerwali dreptanie, usiedli na powalonym pniu i toczyli ze sobą ożywioną rozmowę. Ich głosy nie do-

chodziły do Zulejki, lecz z gwałtownych ruchów rąk i z wyrazu twarzy można było wywnioskować, że są czymś wzburzeni.

No, jasne — drwiła pani inspektor — znaleźli się w opałach. Wyszło szydło z worka, a raczej z siatki szpiegowskiej, bo teraz nawet osesek może się zorientować, że motają jakąś delikatną nić szpiegowskiej roboty. Będziecie mieli się z pyszna, gdy was nakryjemy...

Urwała tę myśl, gdyż zobaczyła, że babcia spod bluzy dresu wyjmuje jakieś zawiniątko i oddaje je Fajczarzowi. Ten delikatnie je rozwiązał. Minę miał nietęgą, a samopoczucie zapewne gorzej niż podłe, bo z przejęciem kręcił głową.

A, czarodzieje — uśmiechnęła się sarkastycznie dziewczyna — już wiem, co w tym pakieciku. Mogę dać głowę, że skorupy stłuczonego słonia i zwitki z szyframi. Babcia zapewne nie potrafiła rozszyfrować tajnych przekazów. A ten cwany wykwintniś i bubek aż się pali, żeby jak najszybciej odczytać przesłane z centrali wiadomości. Cwaniacy, niby uprawiają ranne przebieżki, niby rozkoszują się pięknem przyrody, a tymczasem...

Tymczasem Fajczarz schował pod bluzą zawiniątko i oboje zaczęli dreptać, jakby chcieli wydreptać dziurę w leśnym podszyciu. I nagle zawrócili...

Zulejka padła na ziemię, rozpłaszczyła się jak żaba. Chciała przesunąć się za drugi, bardziej od ścieżki oddalony pień, ale było już za późno. Biegnący z młodzieńczą werwą Fajczarz o mały figiel nie nadepnął na rękę inspektora. Na widok Zulejki — zatrzymał się gwałtownie.

— Co ty tu robisz, dziewuszko? — przywitał ją zdumiony.

Zulejka zerwała się i — mimo woli — zaczęła dreptać w miejscu jak oni przed chwilą.

— Nie widzi pan, że trenuję?

— Zulejko — zawołała babcia wyłaniając się spoza pleców Fajczarza — dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

Dziewczyna uśmiechnęła się drwiąco.

— A państwo, to co? — rzuciła zuchwale.

— Zdziwisz się — pani Żednicka zaczęła truchtać obok dziewczyny — bo ja, mimo że jestem już babcią, codziennie przebiegam dziesięć kilometrów.

— Z tajemniczą paczuszką za pazuchą — wtrąciła uszczypliwie. — Niech pani nie myśli, że jestem taka naiwna.

Zamienili płochliwe spojrzenia, a potem Fajczarz uśmiechnął się chytrze.

— A ty, moja droga, śledzisz nas już od świtu.

— To się tylko panu tak zdaje. Myłam się w jeziorze, a wy mieliście po prostu pecha, że napatoczyliście się na mnie.

Pani Żednicka pokiwała głową.

— Zulejko, czy tobie nie szkoda czasu na takie głupstwa?

— Jestem na wakacjach, proszę pani, i robię to, na co mam ochotę.

— Ale zachowujesz się dziwnie, powiedziałabym nawet — cudacznie. Wczoraj upuściłaś celowo tę figurkę...

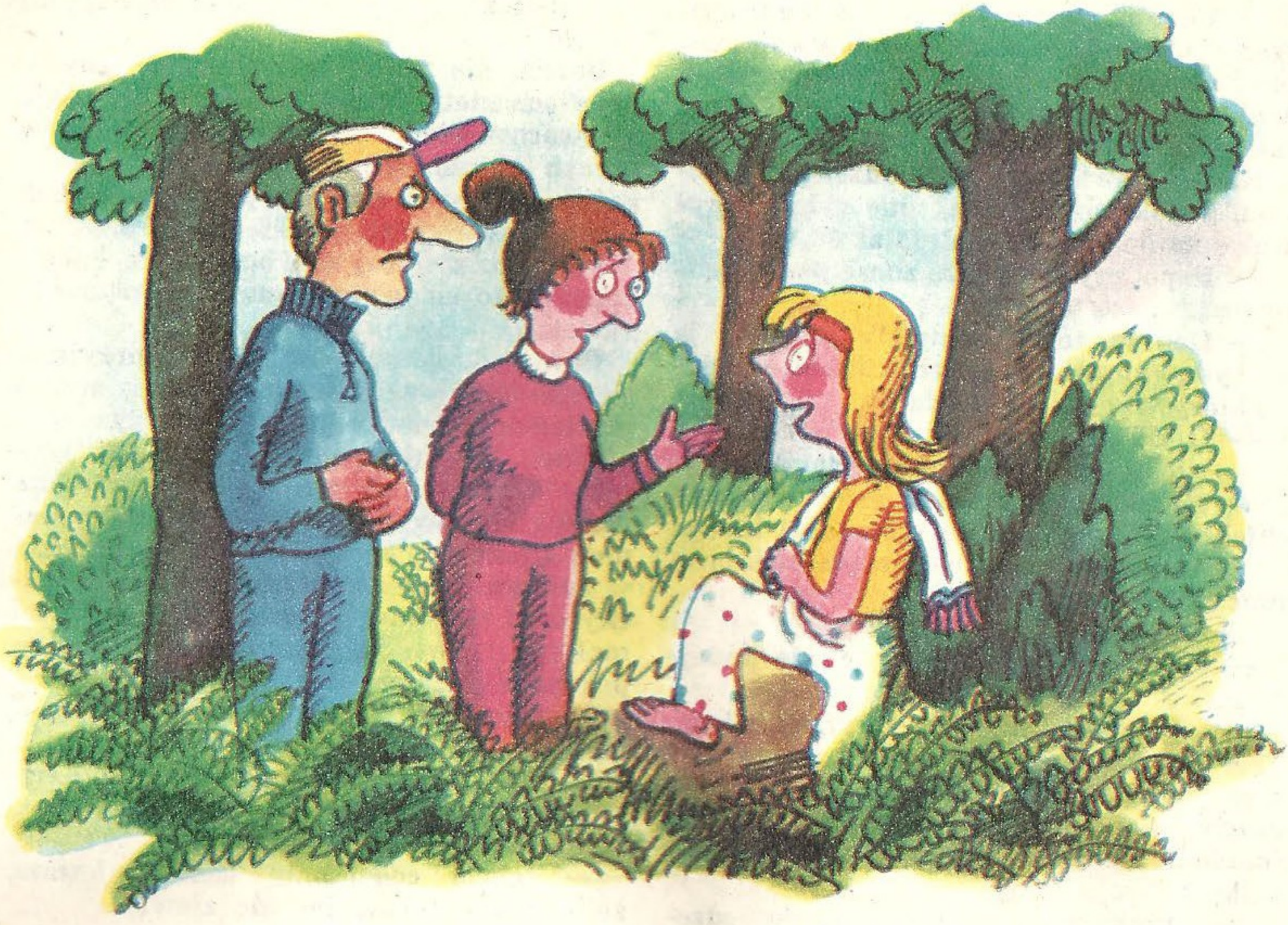

Dziewczyna przymrużyła oko i dokończyła:

— ... którą teraz ten pan ma pod bluzą.

— Czy widzisz w tym coś dziwnego?

— Od chwili, gdy ten pan zakopał tę samą figurkę na wyspie, niczemu się nie dziwię.

Pani Żednicka chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz Fajczarz uprzedził ją skwapliwie.

— Mówiłem pani — zwrócił się do babci — że ta oto młoda osoba posądza mnie...

— Tere fere — wykrzywiła się pocieszznie. — Chce mi pan wmówić, że nie zakopywał pan tańczącego słonia, a ja widziałam na własne oczy.

— Nie unoś się — wtrąciła pojednawczo babcia. — Dziewczęta w twoim wieku...

— Już wiem, co chce pani powiedzieć, że w moim wieku ma się często przywidzenia i...

— Tak, tak — podjął Fajczarz. — Musisz, moja droga, zastanowić się nad tym, a gdy wrócisz do Warszawy, poprosić matkę, by cię zaprowadziła do dobrego lekarza. — To powiedziawszy skinął głową na panią Żednicką. — Idziemy, pani Doroto.

Ta zawahała się. Pobiegła kilka kroków za partnerem, lecz wnet zatrzymała się i zawołała do Zulejki:

— Jeżeli chcesz ze mną porozmawiać, to przyjdź po śniadaniu.

— Bardzo chętnie — odkrzyknęła dziewczyna.

* * *

— Wstawaj, Bartek! — Ojciec szarpnął chłopca za ramię. — Wstawaj, chłopie, bo już późno.

— Która godzina? — zapytał zaspanym głosem.

— Za dziesięć dziesiąta.

Bartek zerwał się z łóżka, siadł na jego krawędzi i trąc pięściami oczy, zamamrotał:

— To nie mogłeś mnie wcześniej obudzić? Przecież prosiłem cię.

— Budzę cię już od wpół do ósmej, a ty śpisz jak zaczarowany.

— Trzeba mnie było oblać zimną wodą.

— Chciałem nawet to zrobić, ale pomyślałem, że nie wypada w ten sposób budzić indiańskiego wojownika.

— My się już w Indian nie bawimy.

— To dlaczego chciałeś wstać tak wcześnie?

— Bo mam coś do załatwienia.

— Rozumiem. — Pokiwał z niedowierzaniem głową. — Śniadanie masz na stole, a herbatę w termosie. Tylko pamiętaj, żebyś przyszedł punktualnie na obiad, nie tak jak wczoraj.

Bartek ziewnął jak przebudzony hipopotam, zwlókł się z łóżka, umoczył w umywalce koniec nosa i podreptał do stołu.

— Papo, czy ty dobrze znasz panią Żednicką?

— Dobrze, to przesada. Widywałem ją w wydawnictwie. Jest redaktorem w dziale, który wydaje moje książki.

— O UFO?

— Nie tylko. A dlaczego pytasz?

— A tak sobie... — Smarował szybko chleb masłem. — Może mówiła ci kiedyś o porcelanowej figurce przedstawiającej tańczącego słonia?

— Nie... nigdy.

— A czy ona nie wydaje ci się podejrzana?

Ojciec uniósł ręce gestem zdziwienia.

— Bartek, co ci nagle przyszło do głowy... Przecież to ogólnie szanowana i najuczciwsza kobieta. Słuchaj, jedz szybciej śniadanie, bo widzę, żeś się jeszcze nie obudził.

Nie trzeba było zapraszać go do jedzenia. Z szybkością głodomora sprzątnął chleb, kiełbasę, twaróg, a potem jak torpeda wypadł z pokoju.

Świadomość, że pani Irma — Żałosna Mortadela, jak ją Zulejka dowcipnie nazwała — mogła już wyjść z hotelu, popędzała go jak wiatr. Już był w korytarzu, już zbiegał ze schodów, gdy nagle zobaczył zjeżdżającego po poręczy Muminka.

— Cześć, Muminek — rzucił mu w biegu, lecz myśl, że może wydębić od niego ciekawe wiadomości, zatrzymała go w progu drzwi. — Słuchaj stary — zaczął podstępnie — czy babcia znalazła już ten brylant, co wpadł pod tapczan?

Malec zmarszczył zabawnie nos i odparł z całą powagą.

— Jaki brylant?

— Nie udawaj, sam przecież mówiłeś.

— Ja? To ci się coś pomieszało.

— Mówiłeś, zgniłku, a teraz się wypierasz.

— Może mówiłem, ale dawno już o tym zapomniałem.

— Czy twoja babcia dobrze zna tę panią Irmę? Kapujesz, tę w czarnych spodniach.

Muminek wzruszył ramionami i rzucił niechętnie:

— Dlaczego?

— Jak to — dlaczego?

— Dlaczego mnie o to pytasz? Zapytaj babcię.

Bartek nie zdążył odpowiedzieć, gdy w drzwiach klatki schodowej zjawił się nagle wytworny młodzieniec. Na jego widok w oczach Muminka pojawił się wyraz wrogości, a kiedy nieznajomy przechodził obok niego, złapał go za mankiet koszuli.

— Tolo, zmywaj się, bo jak cię babcia zobaczy, to cię wyrzuci na zbitą twarz — zawołał.

Bartek dopiero teraz baczniej przyjrzał się młodzieńcowi. Był to szczupły, można powiedzieć, wiotki, młody mężczyzna, o pięknej, lecz nieco banalnej twarzy. Wysokie czoło, bujne czarne włosy uczesane według najnowszych wymogów mody, ciemne i jakby zawsze nieco zdziwione oczy w oprawie łuków brwi i długich rzęs. Ruchy miał powolne, pełne gracji, a głos niemal aksamitny. Na ostrzeżenie Muminka prawie nie zareagował. Jedynie w kącikach jego delikatnych ust zjawił się grymas.

— Czy babcia w domu? — zapytał ściszonym głosem.

Malec zagrodził mu drogę.

— Babcia codziennie trenuje karate, żeby ci nawtykać, jak się zjawisz.

— Nie żartuj.

— Wcale nie żartuję. I powiedziała, że jak przyjdziesz, to zrobi z ciebie krwawy befsztyk.

Młodzieniec skrzywił się z niesmakiem.

— Mój drogi, kto cię nauczył tego ordynarnego sposobu wysławiania się?

Muminek cofnął się, pochylił i wysunąwszy jak atakujący baran, głowę, zawołał:

— Zjeżdżaj, ty „ą" „ę", bo cię zasunę bykiem. I mówię ci, że nie chcę mieć z samego rana w domu awantury.

Rzuciłby się na pewno na wystraszonego młodzieńca, gdyby nagle z góry nie odezwała się pani Żednicka.

— Czesiu, co ty tam wyprawiasz?

Chłopiec uniósł głowę.

— Babciu, przyjechał twój ulubieniec.

— Kto taki? — dał się słyszeć jej zaprawiony zdziwieniem głos.

— Zakała naszej rodziny... może go...

— Uspokój się, szczeniaku. — Młody człowiek odepchnął go energicznie i zawołał. — To ja, Tolo. Muszę się koniecznie z ciocią rozmówić.

Z góry doszedł szorstki głos pani Żednickiej:

— Czy nie możecie rozmawiać trochę ciszej? Przecież to pensjonat.

Wytworny młodzieniec, opędzając się

od nacierającego nań Muminka, z trudem wydostał się na piętro, potem obaj zniknęli za drzwiami.

Bartek z uciesznym zdziwieniem obserwował tę pełną komicznej wymowy scenę, a gdy usłyszał głośne trzaśnięcie drzwi, wiedziony instynktem wywiadowcy, wszedł na korytarz pensjonatu. Spoza drzwi pokoju pani Żednickiej dochodziły podniesione głosy. Bartek zbliżył się do progu, zawrócił jednak, powstrzymany myślą, że to nie fair podsłuchiwać pod drzwiami. Nie doszedł do schodów, kiedy na korytarz wypadł wypchnięty z pokoju Muminek,

— Babciu, nie rozmawiaj z tym pasożytem! — wołał wzburzony.

Spoza drzwi na chwilę wychyliła się kobieca głowa.

— Błagam cię, Czesiu, nie rób przedstawienia.

Malec naburmuszył się, wciągnął głowę między ramiona, wbił dłonie w kieszenie szortów i jeszcze raz ramieniem próbował sforsować drzwi. Nie ustąpiły.

— Ja tu na niego zaczekam! — powiedział i ruszył w stronę schodów.

— Ty, kto to taki? — zatrzymał go Bartek.

— Tolo? To mój, pożal się Boże, wujek. Synalek siostry mojej babci — cioci Stasi. Jestem pewny, że znowu wyłudzi od babci pieniądze.

— A czym on się w ogóle zajmuje?

— Tolo? On zbija bąki i żyje na koszt całej rodziny.

— No, ale przecież chodził do jakiejś szkoły, uczył się...

— Wylali go z drugiego roku historii.

— To znaczy... nie skończył studiów?

— Niby tak.

— A skąd on się w ogóle zjawił?

Muminek tak spojrzał na Bartka, jakby go dopiero teraz zobaczył.

— A w ogóle to po co ja ci to wszystko opowiadam?

— No... bo to ciekawe.

— Ty — trącił go łokciem — może byśmy się zabawili w Indian? Ja będę czarownikiem, a ty wodzem.

— Nie da rady tak we dwóch.

— Wiesz co — błysnął oczyma Muminek — mam pomysł. Będę się bawił w rozbitka na samotnej wyspie. Do tego sam wystarczę...

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

Rys. Jerzy Flisak

POCZTÓWKA Z INDII

Ciemnoskóre dzieci rybaków z Peri w dalekich Indiach, nad Zatoką Bengalską, mieszkają w rybackiej wiosce na plaży. Biegają na golasa i co chwila wskakują do morza dla ochłody — pływają świetnie i śmiało nurkują w wysokich falach. Wychowują się tuż nad morzem i w wodzie czują się jak ryby.

Ich domy, a właściwie chatki zbudowane z trzciny, stoją na piasku, kilka kroków od morza. Wkoło wiszą sieci i leżą drewniane łodzie, na których każdego ranka o świcie rybacy wypływają na połów. Z brzegu widać tylko kolorowe żagle na horyzoncie.

Całe życie toczy się w rybackiej wiosce wprost na plaży. „Kuchnia" mieści się na zewnątrz chaty, bo potrawy

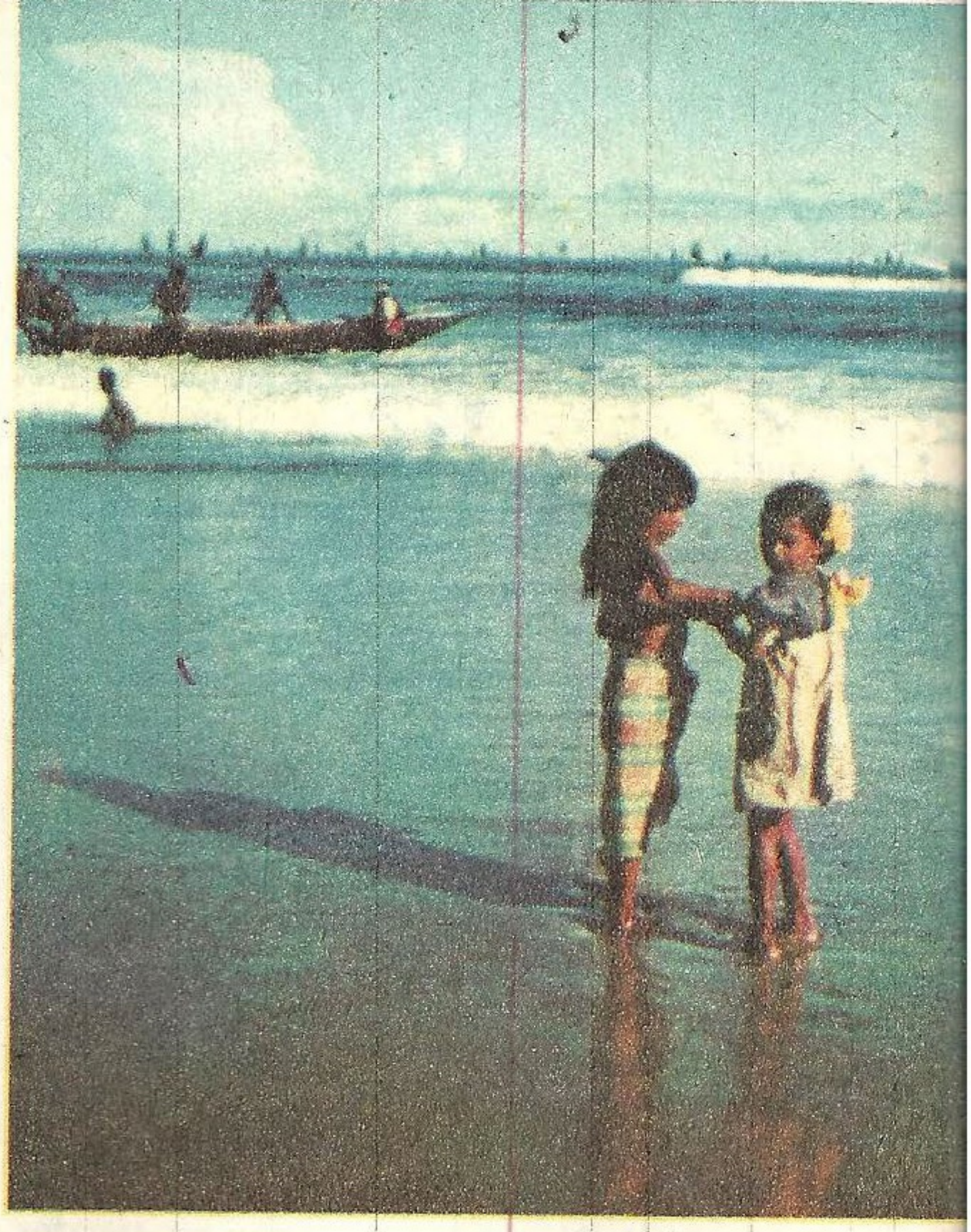

gotuje się tu na ognisku. Kobiety rozkładają ryby na piasku, aby suszyły się w słońcu — takie suszone ryby są przysmakiem mieszkańców Peri. Dzieci także pomagają w gospodarstwie:

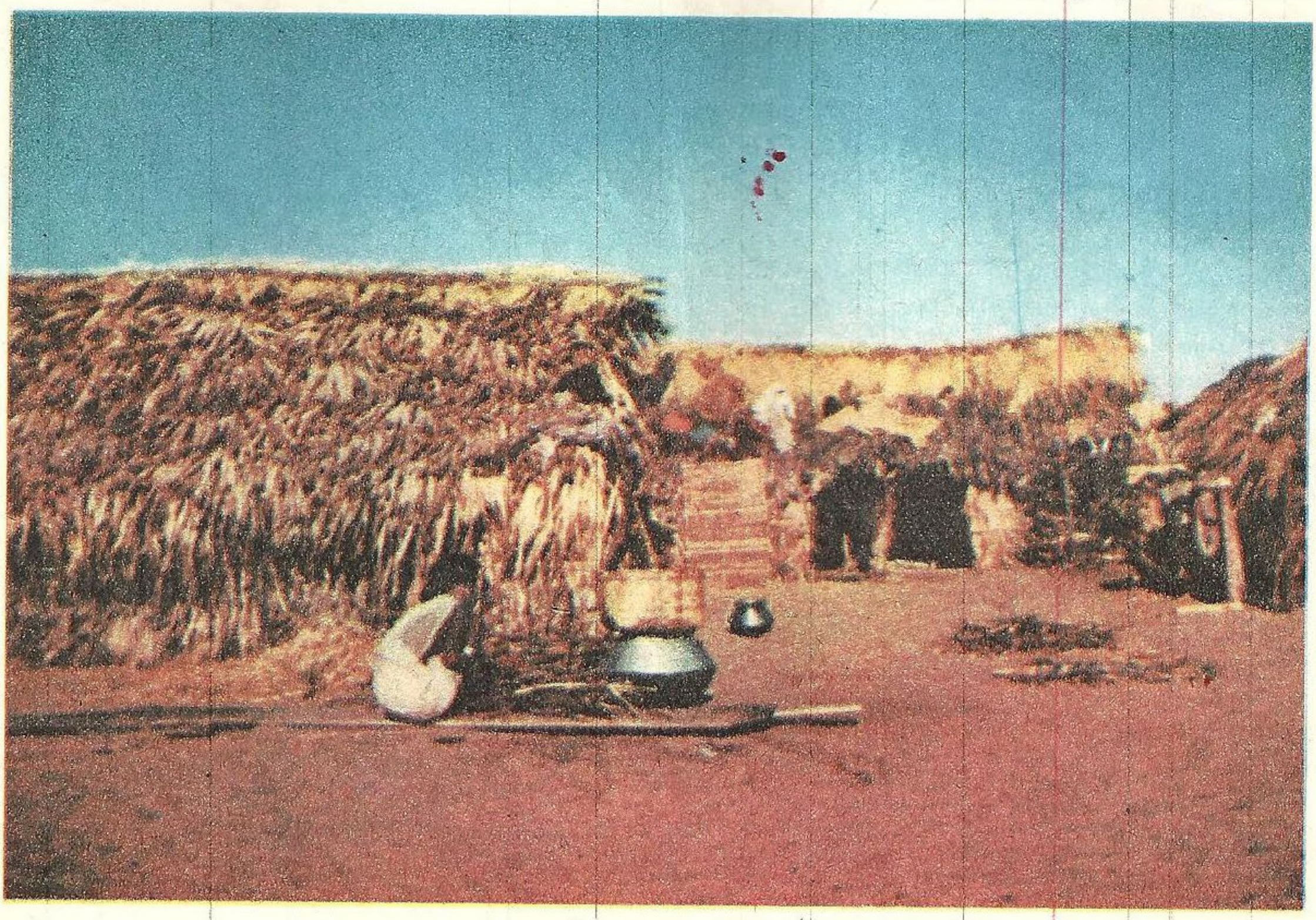

przynoszą wodę do picia ze studni, zajmują się młodszym rodzeństwem, spełniają różne drobne czynności domowe.

Tylko kilkoro dzieci z rybackiej wioski chodzi do szkoły, reszta nie umie czytać ani pisać. Ale tak jest w wielu indyjskich wsiach i w biednych rodzinach w mieście. Dzieci są potrzebne w domu i dlatego nie mogą się uczyć. Pracują już od najmłodszych lat, rodzice bowiem nie mają pieniędzy na opłacenie szkoły i książek. Do tej pory w Indiach przeszło połowa mieszkańców (a w Indiach mieszka aż 730 milionów ludzi) jest analfabetami, czyli nie potrafi czytać i pisać!

Chłopcy z rybackiej wioski w Peri pewnie zostaną w przyszłości rybakami jak ich ojcowie. Wcześnie zaczynają się uczyć rybackiego zawodu, już siedmiolatki pomagają wyciągać na brzeg sieci. Ale za kilka lat, gdy podrosną, wypłyną na łodziach w morze.

Kiedy po południu rybacy wracają z połowu, na brzegu zbiera się cała wioska. Sieci pełne ryb układane są na piasku, a nierzadko trafiają się tutaj i wielkie ryby drapieżne, jakie w Polsce oglądać możemy tylko w dużym akwarium morskim. Potem rybacy dzielą złowione ryby: część zostaje dla rodziny, część przeznacza się na sprzedaż. Kobiety i starsze dzieci odnoszą ryby do restauracji i na targ w koszykach ustawionych na głowie.

Wieczorem w całej wiosce czuje się zapach smażonych ryb. To matki szykują kolację, najmłodsi mieszkańcy wioski bawią się tymczasem wśród rozwieszonych sieci. A następnego dnia, zanim wzejdzie słońce, ojcowie znów wypłyną na połów.

Tekst i zdjęcia: Rita Gołębiowska

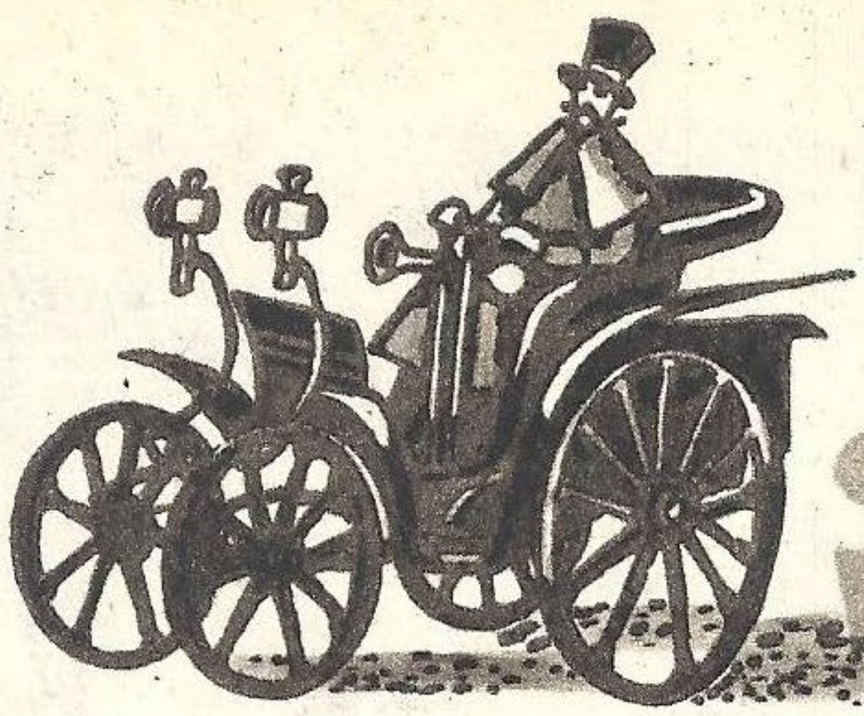

100 LAT SAMOCHODU

SAMOCHODY POLSKIEJ KONSTRUKCJI

W stuletniej historii samochodu również Polska ma swój udział. Narodziny polskiej motoryzacji to 1921 rok. Wówczas, w Warszawie, powstały zakłady pod nazwą Centralne Warsztaty Samochodowe, w skrócie CWS. Zajmowały się one naprawami samochodów zagranicznych.

W 1926 roku skonstruowano w CWS pierwszy samochód, według projektu inżyniera Tadeusza Tańskiego. Był to, na owe lata, bardzo nowoczesny samochód osobowy. Nie tylko ładny, ale również oryginalnie zaprojektowany. Inżynier Tański skonstruował samochód tak, aby można go było łatwo naprawiać. Poszczególne części samochodu były łączone śrubami o jednakowym wymiarze gwintu, o średnicy 10 milimetrów. Do rozmontowania i złożenia elementów pojazdu wystarczał więc jeden klucz narzędziowy.

CWS T-1, tak się nazywał pierwszy polski samochód produkowany w wielu egzemplarzach. Co oznacza skrót CWS już wiemy, natomiast T z jedynką oznaczały pierwszy samochód Tańskiego.

Samochody CWS wytwarzano od 1927 do 1931 roku. Produkowano je w różnych wersjach nadwoziowych; z nadwoziami odkrytymi i zamkniętymi, a nawet w wersji małej ciężarówki. Konstruktorem nadwozi był inżynier Stanisław Panczakiewicz.

Samochód CWS T-1 z nadwoziem sportowo-turystycznym

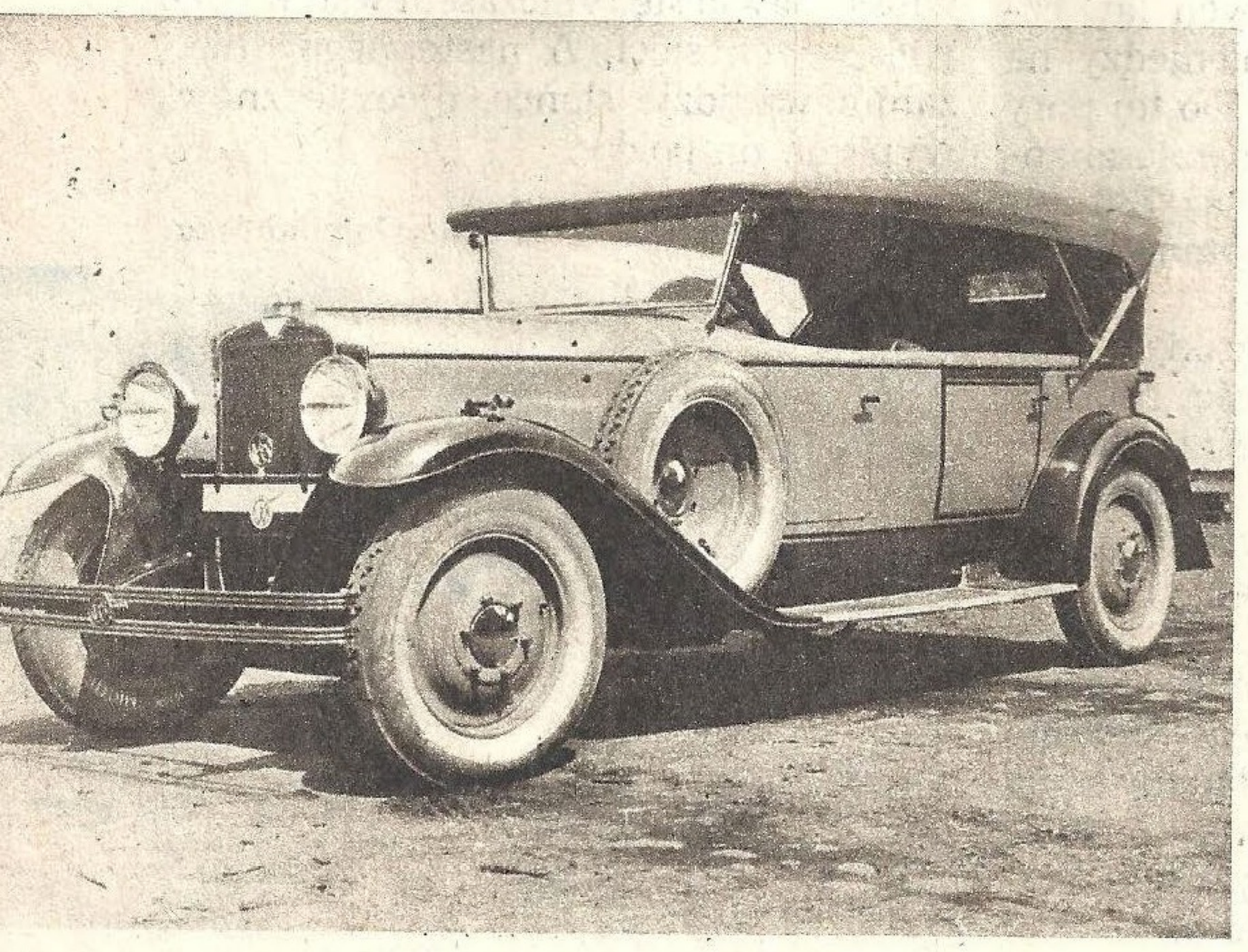

W latach dwudziestych powstały jeszcze inne polskie konstrukcje samochodów. Były to m. in. SKAF, Polonia, Ralf-Stetysz, WM i AS. Natomiast w lubelskiej fabryce, której specjalnością były samoloty, produkowano bardzo ładne nadwozia do samochodów marek zagranicznych.

Na uwagę zasługuje reprezentacyjna limuzyna o nazwie Lux-Sport zbudowana w 1936 roku. Rzeczywiście samochód był luksusowy i szybki jak na tamte czasy, bo mógł osiągnąć prędkość 125 km/godz. Konstruktor, wspomniany już inżynier Panczakiewicz, zaprojektował bardzo nowoczesne nadwozie o opływowych kształtach. Po raz pierwszy na świecie, w samochodzie Lux-

-Sport, reflektory nie były zamocowane na błotnikach, ale zagłębione w błotnikach przednich.

Oprócz samochodów osobowych polscy inżynierowie opracowali udane konstrukcje samochodów ciężarowych i autobusów. Na podwoziach produkowanych według wzoru pochodzącego ze szwajcarskiej firmy Saurer budowano polskie nadwozia autobusowe — autobusy te nosiły nazwę Zawrat. Dobrymi, udanymi polskimi konstrukcjami były samochody ciężarowe serii PZInż.-703. Przygotowywano seryjną produkcję tych pojazdów. Wybuch II wojny światowej spowodował, że wiele polskich konstrukcji samochodów nie weszło do produkcji. Taki los spotkał ciężarowe wozy serii 703 i osobowe Lux-Sport.

Pierwszy powojenny polski samochód został opracowany w 1948 roku. Był to Star-20 przystosowany

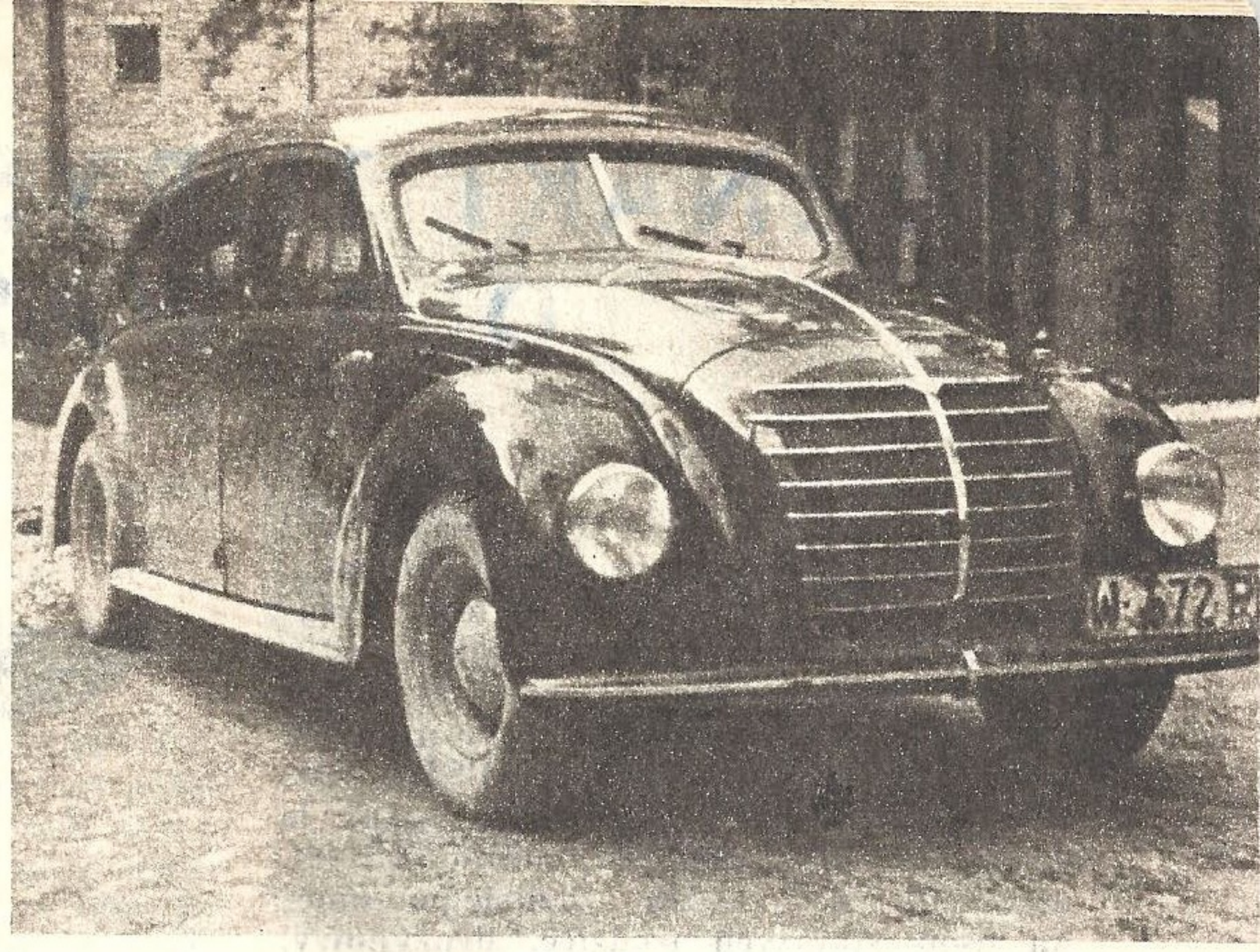

Luksusowy samochód osobowy Lux-Sport zbudowany w 1936 roku

do przewozu ładunków o masie 3,5 tony. Przez wiele lat Stary były podstawowym środkiem transportu towarów w Polsce.

Obecnie polski przemysł motoryzacyjny produkuje różne typy samochodów, w tym samochody według zagranicznych wzorów. Jednak mile wspomina się te pierwsze pojazdy. Tym bardziej, że były one projektowane przez polskich inżynierów, którzy wnieśli spory wkład do rozwoju konstrukcji samochodu na świecie.

Zdzisław Podbielski

Tak wyglądał przedwojenny samochód ciężarowy PZInż.-713. Zdobyte doświadczenie przy konstrukcji tego pojazdu pomogło inżynierom opracować w 1948 roku Stara-20

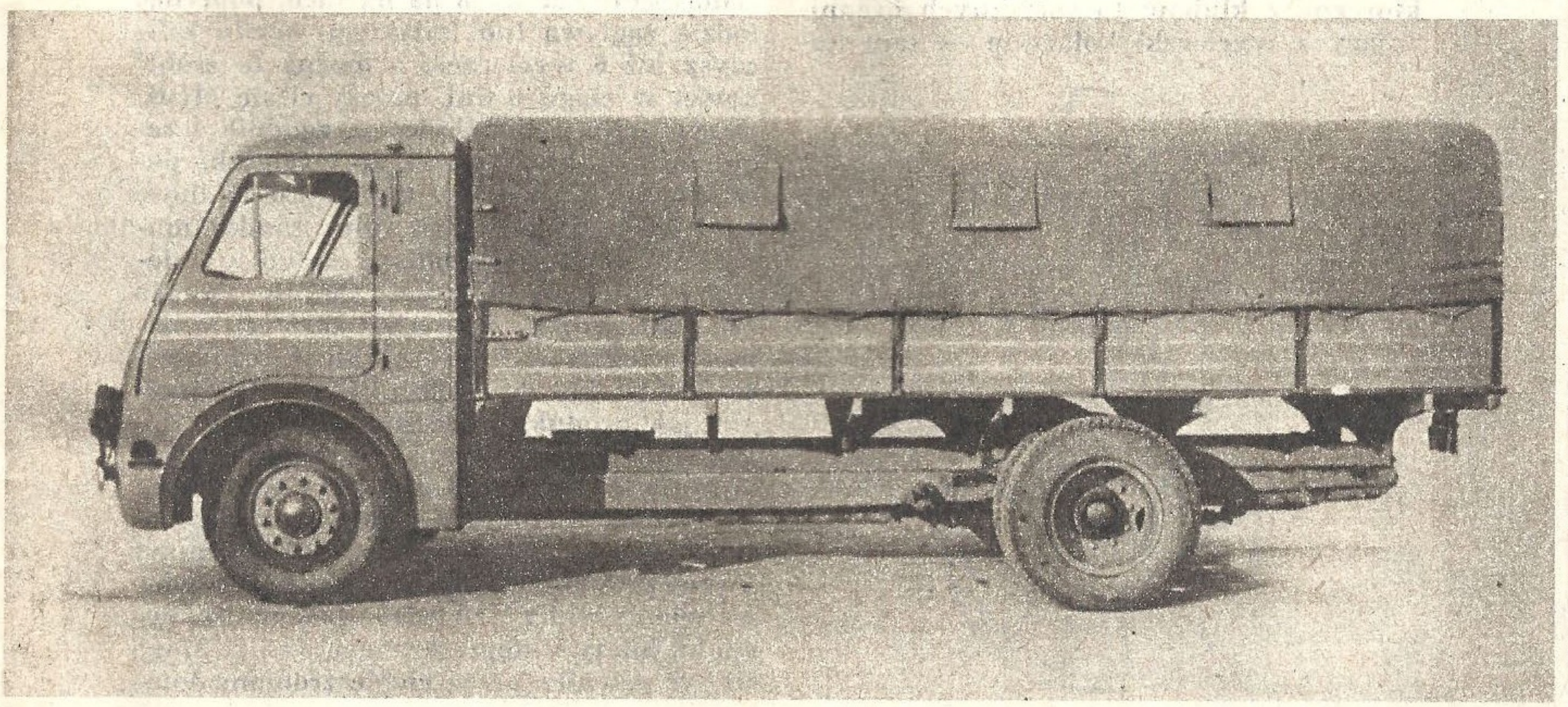

ODZNAKI TURYSTYCZNE DLA WAS

KOT

Każdy może mieć KOTa! Naprawdę! I nosić go w klapie kurtki lub na chlebaku. Jak ten KOT wygląda, zobaczcie na rysunku. Jest to jedna z wielu odznak turystycznych, którą można otrzymać za udział w pewnej liczbie wycieczek rowerowych. Rozszyfrowany KOT to KOLARSKA ODZNAKA TURYSTYCZNA. Jak można ją zdobyć? Trzeba mieć przynajmniej 7 lat, ale wtedy na wycieczki jeździ się pod opieką osób starszych (rodzice, drużynowy, wychowawca na koloniach lub obozie, opiekun z klubu turystycznego) albo 12 lat — i już samodzielnie w grupie rówieśników. Trzeba umieć jeździć na rowerze i dobrze jest mieć już kartę rowerową. Każdą wycieczkę trzeba wpisać do specjalnej „książki wycieczek". Za jedną wycieczkę, zbiorową lub indywidualną zdobywa się 10 punktów, a w ciągu dnia trzeba przejechać nie mniej niż 15 km. Żeby zdobyć pierwszy stopień odznaki (a razem jest ich 6), czyli odznakę brązową, trzeba zebrać 100 punktów, co nie równa się przejechaniu 150 km. Bo punkty zdobywa się również za zwiedzanie zabytków, muzeów, odnajdywanie pomników przyrody i rezerwatów.

Tak więc, jeśli interesuje cię KOT, zgłoś się do szkolnego koła PTTK albo do któregoś z klubów turystycznych organizujących wycieczki kolarskie — tam kupisz sobie „książeczkę wycieczek", będziesz mógł przeczytać uważnie regulamin tej odznaki i dowiesz się, na jakiej podstawie otrzymuje się potwierdzenie indywidualnych wycieczek w teren.

MOK

MOK to odznaka dla ciebie! Jeśli lubisz wycieczki, niekoniecznie nawet dalekie, możesz zdobyć MŁODZIEŻOWĄ ODZNAKĘ KRAJOZNAWCZĄ. Wycieczka nie musi być piesza, możesz pojechać rowerem, wędrować zimą na nartach, popłynąć łodzią żaglową lub kajakiem. Kiedy zaliczysz już 6 wycieczek, a można to zrobić nawet w ciągu 6 dni, należy ci się MOK. Oczywiście, jeśli odbyłeś je zgodnie z regulaminem, który mówi, że wycieczka powinna mieć jakiś cel, temat. Co to może być? Na przykład pałac, ruiny zamku, muzeum, tereny wykopalisk... a także osiedle, w którym mieszkasz lub w którym mieszka twój kolega. Albo spróbujcie namówić rodziców, żeby zabrali was do swojej pracy, do fabryki lub PGR-u. Obejrzycie, jak produkuje się np. telewizory, naprawia silniki maszyn rolniczych, szyje ubrania lub rozdziela przesyłki na poczcie.

Żeby nie zapomnieć, gdzie się było i co się widziało, można założyć sobie „zeszyt wycieczkowy". Znaleźć się tam też powinny widokówki z odwiedzanych miejsc, rysunki, bilety wstępu do muzeum itp. Mogą to być również przez ciebie zrobione foto-

grafie. Taki wypełniony zeszyt staje się teraz „książeczką-legitymacją MOK". Jeśli odbyłeś już 6 wycieczek i zebrałeś do nich dokumentację, poproś swego wychowawcę lub drużynowego, żeby pomógł ci załatwić przyznanie odznaki. Dostaniesz ją w szkolnym klubie krajoznawczo-turystycznym lub najbliższym oddziale PTTK.

Warto zdobyć Młodzieżową Odznakę Krajoznawczą — bo to jeden z pierwszych kroków na szlakach turystycznych.

DOK

„Kiełbik" to nazwa DZIECIĘCEJ ODZNAKI KAJAKOWEJ. Dla każdego chłopaka i dziewczyny, którzy skończyli 10 lat. Żeby zdobyć „Kiełbika", trzeba pływać kajakiem przynajmniej trzy razy w roku po dwa dni — to na odznakę srebrną. Na odznakę złotą — sześć razy po dwa dni. Takie wycieczki można odbywać w soboty i w niedziele, a także w inne dni świąteczne. Oczywiście razem z dorosłymi. Trzeba też pamiętać o tym, że jeśli się nie ma karty pływackiej, obowiązkowe jest pływanie w kapoku lub kamizelce ratunkowej.

Wakacje to chyba najlepszy okres do zdobywania odznaki kajakowej. Tym z was, którzy wybierają się z rodzicami na spływy kajakowe, radzę od razu zaopatrzyć się w książeczkę turystycznych wy-

cieczek kajakowych (można ją kupić w sklepach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego). Do książeczki wpisuje się trasy kajakowych wypraw. W tej książeczce znajdziecie również szczegółowy regulamin Dziecięcej Odznaki Kajakowej „Kiełbik".

Tomasz Kowalik

Fot. Stefania Ciesielska

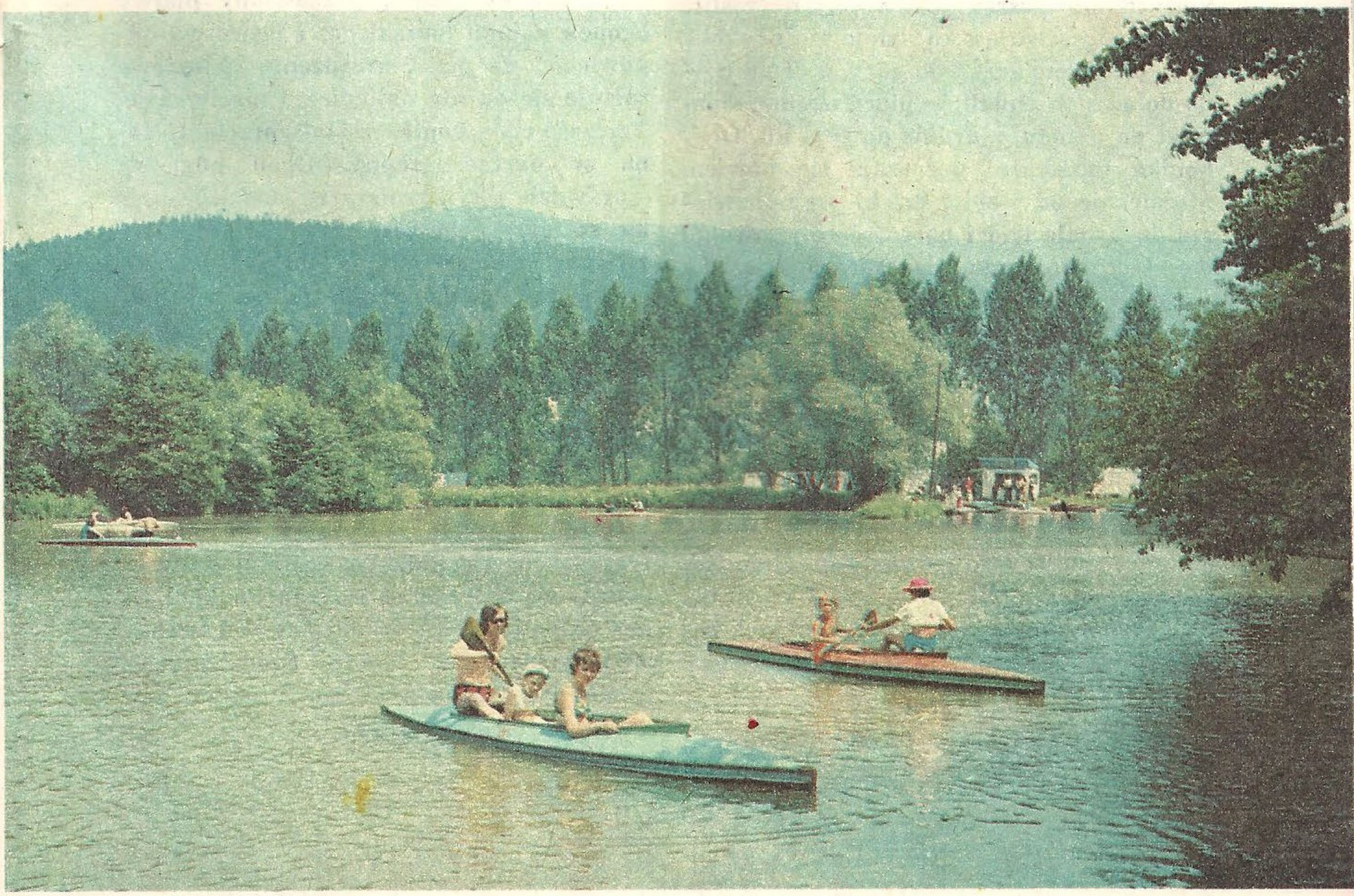

KONIK MORSKI

CO TO ZA ZWIERZĘ?

Jeżeli nawet ktoś widział konika morskiego, to nie potrafi tak od razu powiedzieć, do jakiej grupy zwierząt należy go zaliczyć. Czy jest to ryba, ssak czy może jakiś stawonóg, na przykład krab, lub może zupełnie coś innego? Wygląd konika nie ułatwia rozwiązania zagadki. Kształt łebka oraz wygięta szyja zwierzęcia przypominają nieco końską głowę i nie ma wątpliwości, że temu właśnie konik zawdzięcza swą nazwę. Ale na tym podobieństwa się kończą. Cała reszta — beznogie, zamknięte w twardym pancerzyku ciało, niewielka płetwa grzbietowa, pędzelkowate skrzela oraz zawinięty ogonek — każą odrzucić fantastyczne wyobrażenia o morskim wierzchowcu przemierzającym galopem morskie przestrzenie lub pasącym się spokojnie wśród wodorostów i innych roślin. Te ostatnie służą konikowi morskiemu nie za pokarm, lecz za podporę lub kotwicę, której można uchwycić się ogonkiem. Zaczepiony ogonem konik tkwi nieruchomo wśród podwodnych roślin, czujnie obserwując, co dzieje się dookoła. Jednym okiem zerka do góry, a drugim — do dołu, a po chwili — pierwsze może patrzeć do przodu, a drugie do tyłu itd. Oczy konika morskiego poruszają się bowiem niezależnie od siebie, dzięki czemu zwierzę doskonale widzi poruszające się wokół morskie stworzonka, na które poluje.

Konik morski jest rybą! Najprawdziwszą rybą, chociaż wykazuje wiele cech nietypowych. Ma twardy pancerz zamiast łusek, ma wygiętą szyję, dzięki czemu łebek jego znajduje się w pobliżu brzucha (łeb, szyja, tułów i ogon u ryb są położone na tej samej linii). Także innymi cechami konik morski zaskakiwał badających go uczonych. O jego przynależności do ryb świadczy m. in. budowa czaszki i kręgosłupa, obecność zebranych w pęczki skrzel, pęcherz pławny oraz niewielka płetwa grzbietowa.

OGON TO WAŻNA RZECZ

Ogon, w zależności od gatunku zwierzęcia oraz jego trybu życia, pełnić może najrozmaitsze, niezwykle ważne funkcje. Dla ryb jest on najczęściej tym, czym dla statku śruba napędowa. Silne ruchy ogona umożliwiają rybom zręczne poruszanie się w wodzie.

Patrząc na cienki, pozbawiony płetwy ogonek konika morskiego, z łatwością odpowiecie, że jako urządzenie napędowe spisuje się on nie najlepiej. I macie rację. Ta część ciała konika została przekształcona w narząd czepny. Ogon odgrywa wprawdzie pewną rolę przy ruchach konika do góry, ale jest nieprzydatny, gdy zwierzę zamierza płynąć do przodu. Pomocna w tym okazuje się najbardziej mizerna płetwa grzbietowa. Konik morski porusza się wolno i jakby skokami.

ZMIENNY JAK KAMELEON

Koniki morskie spotykamy w morzach i oceanach, ale niektóre gatunki przystosowały się do życia w wodach słodkich. Są one pospolitymi mieszkańcami wód Oceanu Atlantyckiego i Morza Śródziemnego, rzadko występują w Morzu Czarnym, a w

Bałtyku nie ma ich wcale. Barwa tej niewielkiej, 10 do 15 cm, rybki jest najczęściej brązowawa, ale trafiają się koniki nie ustępujące urodą najpiękniejszym rybom koralowym. Mały konik australijski ma np. szkarłatno-czerwony, żółty brzuch i fioletowo-niebieskie pasy na szyi.

Podobnie jak kameleon, konik morski może stopniowo zmieniać barwę, dostosowując się nią do kolorytu tła. Również nastrój zwierzątka wpływa na jego ubarwienie. Zaniepokojona lub cierpiąca rybka blaknie, natomiast spokojny, czujący się bezpiecznie konik nabiera pięknych, soczystych barw.

JAK TO POŁKNĄĆ?

Mając bezzębny, wydłużony i zakończony maleńkim otworem ustnym pyszczek, konik morski powinien odżywiać się wyłącznie małymi, kilkumilimetrowymi stworzonkami. Tymczasem może on pożreć całkiem pokaźne, bo centymetrowe raczki. Pozornie wydaje się to wręcz niemożliwe, by tak duża zdobycz przecisnęła się przez jego wąski otwór gębowy. To trochę tak, jakby ktoś chciał przepchnąć wielki guzik

przez zbyt małą dziurkę. Ale fakty przeczą tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi, gdyż te dziwaczne rybki połykają to, czego nie potrafią zamknąć w pyszczku. Okazało się, że zamierzając połknąć jakąś zdobycz, konik morski wyciska czy też wypompowuje z pyszczka wodę. Udaje mu się to zrobić za pomocą skrzeli i języka. W ten sposób, przy zamkniętych pokrywach skrzelowych, w jamie gębowej konika powstaje próżnia. Zatem między otoczeniem rybki (czyli wodą), a wnętrzem pyska istnieje znaczna różnica ciśnienia. I dlatego właśnie nic nie podejrzewająca ofiara zostaje z dużą siłą wessana do środka. Również dlatego połykaniu zdobyczy przez konika towarzyszy wyraźne cmokhięcie.

CZY TATA, CZY MAMA?

Niezwykle ciekawy jest sposób rozmnażania się konika morskiego. Na brzuchu rybki, w okolicy otworu odbytowego, znajdują się dwie fałdy skórne, zrastające się w rodzaj torby. W tej torbie właśnie przebywają młode koniki morskie aż do chwili, gdy będą zdolne do samodzielnego życia. Zapewne wielu z Was ta forma opieki nad potomstwem kojarzy się z kangurem. Ale sama torba to jeszcze nie wszystko. Ważne jest przede wszystkim, kto ją ma i co się w niej dzieje. Proszę sobie wyobrazić, że u koników morskich wspomniana torba znajduje się na brzuchu samca, a nie samiczki! To właśnie jest ta pierwsza rewelacja dotycząca rozmnażania się konika morskiego. Ale na tym nie koniec!

Samica składa jaja (zwane ikrą) do torby samca i na tym jej rola się kończy. Teraz potomstwo rozwija się wyłącznie dzięki samcowi. Wprawdzie każde z ciasno upakowanych w torbie jaj zawiera pewien zasób substancji odżywczych, umożliwiających dalszy jego rozwój, ale organizm samca dodatkowo wspomaga potomstwo. Warstwa naczyń krwionośnych w komorze lęgowej samca rozrasta się bardzo, toteż prawdopodobnie jego krew zaopatruje zarodki w substancje odżywcze. Czyli, mó-

wiąc bardzo prosto: samiec „dokarmia" młode przez własną krew. I to jest właśnie takie niezwykłe. Organizm samca zachowuje się tak, jak organizm samicy! Bo tylko samice (i to ssaków) przekazują zarodkom substancje pokarmowe za pośrednictwem krwi!

Musicie jednak pamiętać, że organizm samca nie jest zdolny wyprodukować jaj (ikry), toteż aby nowe pokolenie koników przyszło na świat, potrzebne jest złożenie jaj (ikry) przez samicę do torby lęgowej samca. Jak dotąd, tego typu forma opieki nad potomstwem została stwierdzona wyłącznie u koników morskich oraz ich bliskich krewniaków: igliczni i wężynek.

Narodziny małych koników nie są dla samca sprawą łatwą ani przyjemną. Małe koniki morskie nie wysypują się swobodnie z torby, lecz samiec musi je z niej wypchnąć. I tu jego rola się kończy. Więcej nie troszczy się o potomstwo, na które przyszedł właśnie czas wielkiej próby. Małe koniki muszą szybko wypłynąć na powierzchnię, by zaczerpnąć... powietrza! Jeśli któremuś z nich nie uda się napełnić powietrzem pęcherza pławnego, ginie.

Anna Siwkiewicz

W kwiatowym ogródku

Teraz, latem zakwita w ogródku wiele okazałych, pospolicie uprawianych roślin kwiatowych: malwy, dalie, czyli georginie, rudbekie, czyli złote kule, kosaćce, różne lilie, wiele kwiatów z rodziny złożonych,

Kosaciec, czyli irys

Naparstnica purpurowa

podobnych do słoneczników. Rzadziej spotyka się ostróżki, orliki, tojady, naparstnice, maki...

Wśród tych ozdób ogródkowych kryją się dwie bardzo niebezpieczne rośliny: tojad i naparstnica.

Mak

TOJAD rośnie dziko w górach. Ma kwiaty niebiesko-fioletowe w kształcie jakby hełmów starożytnych żołnierzy greckich. Zapylają je trzmiele, które aż znikają całe pod hełmem w drodze do wnętrza kwiatu. Trucizna tojadu — akonityna — w największej ilości zawarta w bulwiastym korzeniu, działa bardzo szybko i groźnie.

NAPARSTNICA ma żółte lub czerwone kwiaty, dzwonki, zebrane w długie grono wzdłuż łodygi. Rośnie na skrajach lasów. Zawiera związki, zwane glikozydami, działające silnie na serce (podobnie jak konwalia). Obydwie rośliny w stanie dzikim objęte są ochroną — nie wolno ich zrywać i niszczyć.

Wielu innych ogródkowych roślin kwiatowych też lepiej nie próbować. Szkodliwe, trujące są też kosaćce, ostróżki, rudbekie, maki, orliki, ale przecież wszystkie one są tylko do oglądania i ozdoby ogródka.

Anna Pawłowska
Fot. Wiktor Pawłowski

Tojad

Orlik

Naparstnica zwyczajna

Drukujemy kolejne nagrodzone wypowiedzi w konkursie „MOJE NAJCIEKAWSZE". Jako że jest pora wakacji, zaczynamy od listu Agnieszki Górnej z Poznania, która „swoje najciekawsze" odkryła podczas ubiegłorocznego lata:

„Moim najciekawszym — pisze Agnieszka — *były* **kolonie**, *które spędziłam we Wdzydzach Kiszewskich na Ziemi Kaszubskiej. Mieszkaliśmy w ślicznej willi na górce. U jej podnóża rozlewało się jezioro Gołuń. Droga w lewo prowadziła do Kościerzyny, natomiast w prawo — do kąpieliska i na łąkę. Często chodziliśmy do lasu w stronę Kościerzyny. W lesie zbieraliśmy grzyby. Najprzyjemniej było zbierać kurki, bo ich żółta barwa widoczna była z daleka. Lubiłam również kąpać się w jeziorze, a wieczorem przy ognisku uczyć się nowych piosenek.*

Wdzydze tak mi się podobały, że postanowiłam lepiej je poznać i zebrałam ciekawe wiadomości dotyczące ich przeszłości. Dowiedziałam się, że Wdzydze wiele zawdzięczają małżeństwu Teodorze i Izydorowi Gulgowskim, którzy zamieszkali tutaj w 1898 roku. Teodora Gulgowska zebrała grupę miejscowych dziewcząt i nauczyła je haftów oraz ludowych przyśpiewek i tańców. Takie były początki zespołu ludowego „Kaszubianki", znanego już nie tylko na Mazurach. Zaprosiliśmy na kolonijne spotkanie jedną z najstarszych członkiń zespołu, panią Władysławę Wiśniewską. Odwiedziła nas ubrana w strój ludowy. Mogliśmy podziwiać nie tylko piękny ubiór, ale również obrusy i serwetki, które sama przez wiele lat haftowała. Pani Władysława Wiśniewska śpiewała ludowe piosenki m. in. słynny „Alfabet kaszubski". Mogliśmy podziwiać sztukę wyrabiania koszy, talerzy i innych przedmiotów z wikliny, którą to umiejętność rozpowszechnił pan Izydor Gulgowski. A w skansenie założonym przez państwa Gulgowskich zobaczyłam, jak dawniej mieszkano. Co roku na terenie skansenu odbywa się jarmark, na którym można kupić wyroby ludowe i posłuchać regionalnych zespołów.

Wakacje we Wdzydzach uważam za moje najciekawsze przeżycie, bo poznałam piękną miejscowość — tak inną od mojego miasta — i piękno ludowych tradycji".

Wieża Eiffla w Paryżu

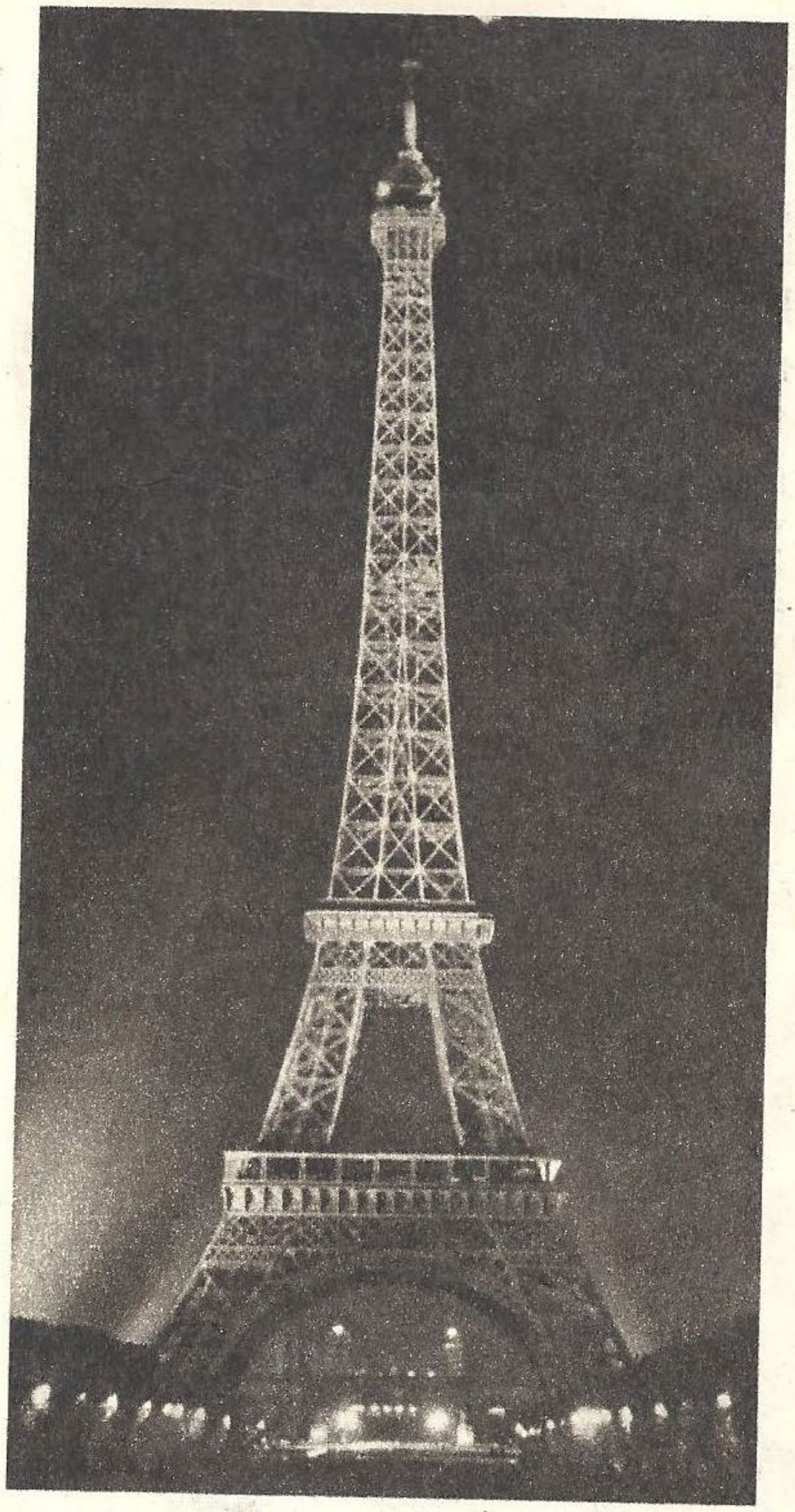

Może i Wam się zdarzy, że podczas tegorocznych wakacji spotkacie „swoje najciekawsze"?

Teraz powędrujemy aż do Francji, skąd o swoim najciekawszym napisała Ania Nowak z Paryża:

„Drogi „Płomyczku", mieszkam we Francji. Języka polskiego nauczyła mnie babcia, gdy byłam jeszcze mała. I chociaż chodzę do francuskiej szkoły, to nie zapomniałam polskiego. „Moje najciekawsze" to **wieża Eiffla** *— Tour Eiffel. Została zbudowana na lewym brzegu Sekwany w latach 1887-1889 z okazji wystawy światowej i miała 300 m wysokości. Była wówczas najwyższą budowlą świata. Niektórzy zachwycali się nią, innym się wcale nie podobała. Ale przez lata stała się symbolem stolicy Francji. Jej nazwa pochodzi od nazwiska twórcy. Obecnie wieża ma 320 m wys., gdyż w 1957 roku dobudowano 20 m instalując na jej wierzchu antenę telewizyjną. Wieża wznosi się nad Polem Marsowym, pięknym parkiem, gdzie odbywały się parady wojskowe i wystawy. Codziennie przechodzę obok wieży Eiffla i widzę turystów z całego świata, którzy z trzech platform widokowych podziwiają panoramę miasta i okolic".*

Kolejny konkursowy list nadszedł ze Związku Radzieckiego. O swoim najciekawszym napisała stamtąd Maria Łafarowicz:

„Mieszkam we Lwowie i jestem uczennicą drugiej klasy polskiej szkoły. „Moje najciekawsze" to **Stryjski park** *we Lwowie. Zajmuje aż 60 hektarów. Założony został w XIX wieku. Przy wejściu do parku jest staw, po którym pływają łabędzie. W pięknej oranżerii można podziwiać egzotyczne rośliny. Lubię tu przychodzić i jest to moje ulubione miejsce wypoczynku pośród drzew, krzewów i kwiatów.*

Do swojej wypowiedzi, przysłanej na konkurs, Marysia dołączyła prośbę: *„Może ktoś z czytelników „Płomyczka" chciałby ze mną korespondować. Mój adres: Maria Łafarowicz, 290039 Lwów, ul. Mińska 18 m. 42, ZSRR."*

*

Następne listy będziemy drukować w dalszych numerach „Płomyczka". Przypominamy, że autorom wydrukowanych wypowiedzi wysyłamy książki.

Czekamy na Wasze listy.

Mam psa!

- BYŁ DUŻO WIĘKSZY, ALE PO PIERWSZYM WIOSENNYM DESZCZU SIĘ SKURCZYŁ!

-AZOR BYŁ KIEDYŚ W ZOO I ZOBACZYŁ TAM ŻÓŁWIA, KTÓRY NIÓSŁ NA GRZBIECIE SWÓJ DOMEK!

- PEWNIE GDZIEŚ ZOBACZYŁ KOTA!

-ON JEST TROCHĘ DZIWNY - PRZED KOTEM UCIEKA NA DRZEWO!

-TYLKO TAK GROŹNIE WYGLĄDA -- A JE Z RĘKI!

-NIE GNIEWAJ SIĘ NA NIEGO - ON SIĘ TYLKO TAK BAWI!

-... I POPATRZ - MNIE CIĄGLE PROWADZĄ DO FRYZJERA, A JEGO ANI RAZU!

-JAKA TO RASA? NIE WIDZISZ, ŻE TO BOKSER!

-JEŻELI PAN NIE USUNIE Z DROGI SWEGO PSA, POSZCZUJĘ MOJEGO REKSIA NA NIEGO!!

-NO DOBRZE, DOBRZE -- JUŻ IDĘ DO DOMU!..

-PEWNIE MU SIĘ SPRZYKRZYŁO CHODZIĆ PRZY SAMEJ ZIEMI!

-MARZĘ O TAKIM PSIE, KTÓRY PODCZAS OBIADU POTRAFI CICHO SIEDZIEĆ POD STOŁEM I KTÓRY LUBI SZPINAK!

GWIDON MIKLASZEWSKI 73

Zagadka pocztowa

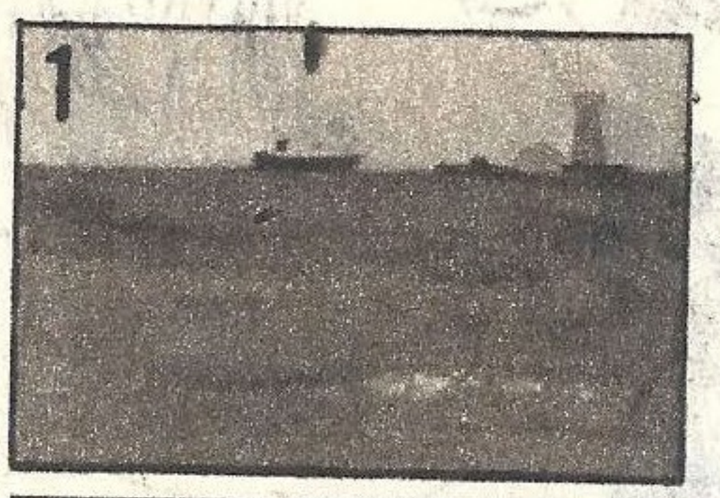

Nasza redakcja otrzymała wiele pocztówek z wakacji. Wybraliśmy cztery z nich i ułożyliśmy zagadkę. Należy do każdej widokówki dopasować imię nadawcy z właściwej koperty. Imiona te wpiszcie w poziome rzędy oznaczone cyframi od 1 do 4. Zaczynając od kolorowego prostokącika i posuwając się wzdłuż linii łamanej, odczytajcie hasło.

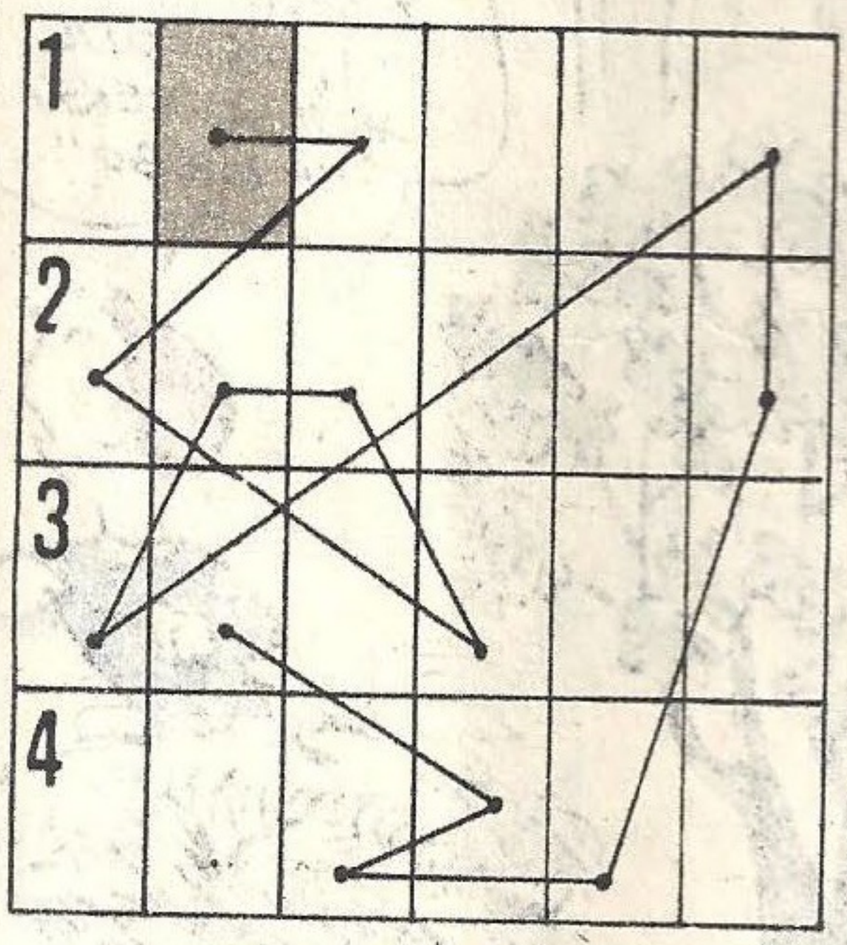

ZAGADKA

Zwierzę dobrze znane,
ma własną fontannę.

R. Przymus

ZAGADKA LITEROWA

Gdy l ma z przodu — znajdziesz ją w sklepie;
gdy ma w z przodu — nie mieć jej lepiej;
gdy r — ktoś zwykle daje ją komuś;
j — ten w stołówce, a inny w domu;
p — to o deszczu, gradzie lub śniegu;
n (się) — potrzebne? czy do niczego?
b — u chorego czyni to lekarz;
g — słowa, słowa płyną jak rzeka;
z — to na jutro pani nam ....;
Ł — wsiadasz, jedziesz — frajda...

H. Łochocka

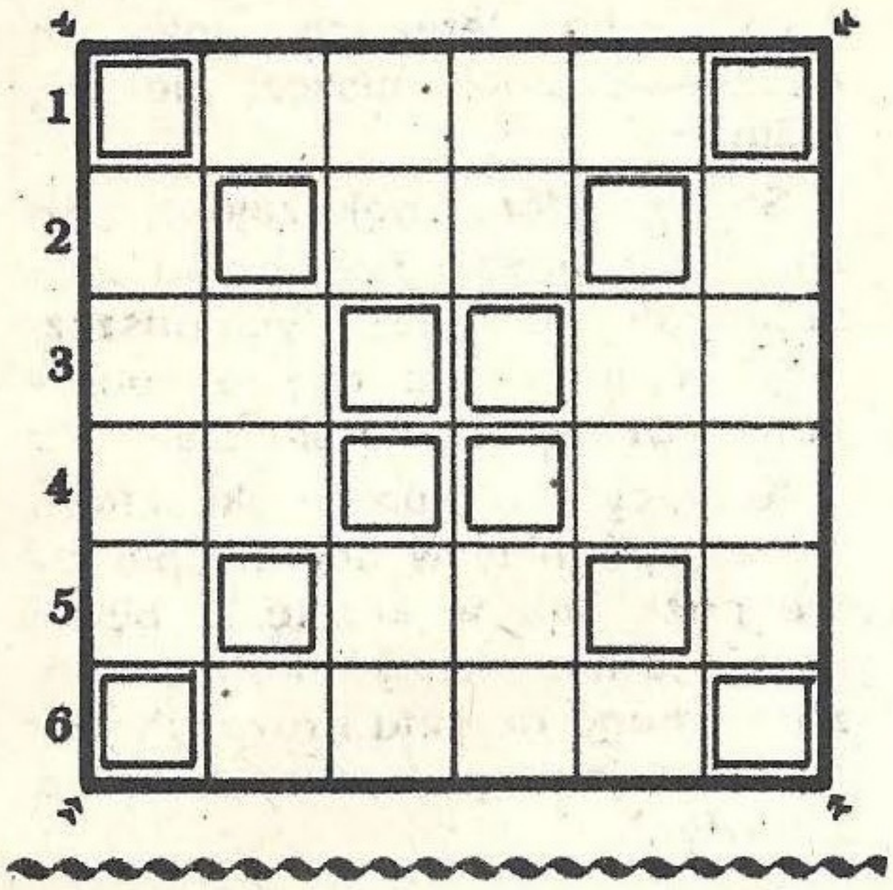

UKOŚNIK

W poziome rzędy figury wpiszcie wyrazy o podanych niżej znaczeniach. Litery na dwu przekątnych dadzą rozwiązanie — nazwy dwóch stolic europejskich.

Znaczenie wyrazów: 1. służy do zamiatania, 2. część nogi, 3. ptasie niemowlę, 4. miasto z Wawelem, 5. płynie z flisakiem, 6. czarny ląd.

Ile przedmiotów?

Przyjrzyjcie się uważnie i policzcie, ile przedmiotów jest przedstawionych na tym rysunku?

Rozwiązania z nru 13

Logogryf: Nauka to do wiedzy klucz (1. kanarek, 2. drukarz, 3. szatnia, 4. słodycz, 5. słownik, 6. ścieżka, 7. rodzina, 8. brykiet, 9. odludek, 10. ręcznik); Labirynt: Bezpieczna droga jest tylko przy króliku; Zagadka 1: żyrafa; Zagadka 2: słowik — słownik; Jakie to rzeki? Łowiska — Wisłoka, arbuz — Bzura, siwak — Kwisa, Arab — Raba, sopran — Prosna, skwar — Skrwa, trawa — Warta, tango — Nogat, drab — Brda, słowik — Wisłok; Przeskakiwanka: By do czegoś dojść w przyszłości, trzeba robić oszczędności.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. nr 1585/85 L-9

Nakład 300 370 egz.

INDEKS 36875

NUMER PODWÓJNY
CENA 30 ZŁ

FOLKLOR POLSKI

Kurpie to ludność mazurska osiadła na terenach dawnych nadnarwiańskich puszcz: Zielonej i Białej.

Stroje, które pokazujemy na zdjęciach, noszone są przez mieszkańców pierwszej z tych puszcz, stąd wywodzi się często spotykana nazwa — „Kurpie Zielone".

Kobiecy strój kurpiowski składa się ze spódnicy w barwne pionowe paski lub w kratkę, z białej koszuli z haftowanym kołnierzem, z barwnego gorsetu i różnych dodatków, jak np. sznury korali z bursztynów.

Najbardziej charakterystycznym akcentem kurpiowskiego stroju dziewczęcego jest strojne aksamitne czółko z kiścią sztucznych różnobarwnych kwiatów z lewej strony. Od czółka spływają na plecy barwne wstążki.

Kurpiowski strój męski — to szare spodnie, buty z cholewami oraz sukmana i kapelusz. Sukmany szyte z samodziałowego sukna, są najczęściej w kolorze burym, brunatnym i ciemnobrązowym. Dawniej charakterystycznymi dodatkami do męskiego stroju kurpiowskiego były — skórzana, najczęściej borsucza torba oraz strzelba, noszona przez strzelców puszczańskich.

Tekst i zdjęcia:
Tadeusz Samborski